Nr. 20. Kraków, dnia 15 maja 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

O rozszerzenie samodzielności kraju.

Przeżywamy w polityce zaboru austryackiego moment szczególnie ważny. Na zewnątrz monarchia austryacko-węgierska podjęła szereg kroków pierwszorzędnego w polityce zagranicznej znaczenia, na wewnątrz przechodzi głęboko wnikającą w sprawy ludności kryzys finansową.

Weźmy fakty.

Od ostatnich walk: włoskiej i pruskiej, z których Austrya wyszła pokonana, monarchia austryacko-węgierska pogrążyła się nadewszystko w pracę organiczną, wyczekując chwili sposobnej do wystąpienia czynnego. Aneksya Bośni i Hercogowiny, dokonana na jesieni 1908 r., była czynem śmiałym i wyrachowanym, wciąganiem się w wir zatargów bałkańskich. Na półwyspie bałkańskim zaszły tymczasem zmiany znaczne: absolutystyczna Turcya przeradza się w monarchię o silnym pokładzie nacyonalistycznym, Bułgarya zrzuca lennictwo i stroi się w koronę, Serbia żyje dalekiemi marzeniami, a Grecya pogrąża się nieustannie w spiskach. Zmiany te stworzyły w polityce międzynarodowej nowe konstelacye: rywalizacya Rosyi i Austryi na Bałkanie, która z wiosną 1909 r. omal nie doprowadziła do starcia orężnego, z którego Rosya, rozprzężona w wojnie japońskiej, niewątpliwie wyszłaby pognębiona. Konflikt ten, podobnie jak inny konflikt, angielsko-niemiecki, grożący zawieruchą ogólno-europejską, nie został bezwzględnie zażegnany i może jeszcze wpleść monarchię w wir nieobliczalnych zatargów.

Stanowisko Polaków wobec tych zagadnień historycznego znaczenia jest zupełnie zdecydowane. Rozdarci, jedynie w zaborze austryackim znaleźliśmy jako taką możność rozwoju narodowego i obrony naszych praw narodowych, gdy w dwu innych zaborach lata ostatnie przynoszą srogie represye. Dlatego też Polacy w zamian za otrzymanie znaczniejszych swobód narodowych popierają to państwo, w którym znaleźli znośne warunki egzystencyi. Kosztem wielkich ofiar własnych, Polacy popierali politykę Austryi zagraniczną i głosowali za trójprzymierzem, jakkolwiek nie omieszkali przez słynną manifestacyę parlamentu wiedeńskiego 28. listopada 1907 r. i przez mowy Głąbińskiego i Dzieduszyckiego w delegacyach wypowiedzieć swego zdania wobec represyi pruskich, ustawy o wywłaszczeniu i o ograniczeniu praw języka polskiego w Poznańskiem. Wobec zamysłów nowosłowiańskich Polacy umieli utrzymać się w należnej rezerwie, a wobec ewentualnej wojny rosyjsko-austryackiej zarówno z tej i z tamtej strony kordonu zajęli stanowisko niedwuznaczne i zdecydowane.

W Polityce wewnętrznej stanowisko Polaków jest nie mniej szczere i jasne. Wobec zakus biurokratyzmu centralistycznego Koło Polskie przeciwstawiło im program własny, pozytywny, opierający się na konstytucyi i parlamentaryzmie; wykonywując go od sierpnia 1909 r., zabiega energicznie o stworzenie stałej większości parlamentarnej, złożonej z Niemców, Czechów i Polaków, co zapewne wkrótce da się uskutecznić, aby przez wytworzenie większości, pracę parlamentu skierować na tory pracy ustawodawczej; zasługą Koła Polskiego w ograniczeniu żywiołów anarchicznych w parlamencie będą usiłowania ku reformie regulaminu izby poselskiej, który w tym roku wejdzie niechybnie w życie.

Z drugiej strony, Koło Polskie, akceptując politykę zagraniczną państwa, użyczało mu skutecznego poparcia w trudnościach finansowych, w jakie Austrya popadła wskutek zbrojeń zeszłorocznych. I nie dalej, jak po świętach wielkanocnych poparło rząd w uzyskaniu pożyczki 230-milionowej.

To są nasze dla państwa ofiary.

W okresie zawichrzeń i zamieszek dziejowych zabór nasz otrzymał rząd polski i prawa narodowe. Zmiana ta okazała się dobrą i dla narodu,

który mógł się swobodniej rozwijać, i dla państwa, które w Polakach zyskało trwałych i rozumnych sojuszników.

Obecnie państwo stanęło znów w momencie przełomowym. W każdym takim momencie za nasze poparcie i nasze ofiary zyskiwaliśmy rozszerzanie dóbr naszych, zwiększanie zakresu samodzielności krajowej.

Kraj obecnie znalazł się w punkcie martwym. Od lat trzech wzrasta niedobór nasz, a budżet tegoroczny zamknięto 14-milionowym deficytem. Przykłady innych krajów, żeby wspomnieć Czechy, gdzie wskutek braku pieniędzy musiano ograniczyć administracyę, wskazuje, że nie jest to objaw oderwany, lecz stały, stwierdzający konieczność sanacyi finansów krajowych. Galicya ma przed sobą także finansowe zagadnienia jak: kwestya kreowania nowych szkół, zwłaszcza zawodowych, reorganizacya płac nauczycieli ludowych, podniesienie przemysłu, ulepszenie rolnictwa itd. Zły stan finansów krajowych odbija się niekorzystnie na państwie, które we własnym interesie musi przystąpić do ich uzdrowienia.

Na samodzielności finansowej opiera się trwale samodzielność kulturalna i gospodarcza. W okresie zatem przełomu, kiedy Austrya znajduje się w momencie ekspansyi zagranicznej — wiadomo, że ma zamiar okupować sandżak nowo-bazarski — a równocześnie przechodzi kryzys finansową, kiedy Polacy dali nowe dowody poparcia życzliwego nam państwa — coraz aktualniejsza staje się sprawa rozszerzenia naszej samodzielności finansowej, gospodarczej, rozszerzenia autonomii Galicyi.

Uczucia samorządne żyją w kraju całym, nie trzeba im dawać żadnego podkładu ideologicznego. Buchnęły one żywiołowo przed laty pięcioma i ogarnęły naród cały; przygasły nieco, aby obecnie zapłonąć pełną siłą, podjąć nowe zmagania o rozszerzeniu praw naszych i o zdobycie nowych warunków narodowego rozwoju.

Chwila sposobna. Uczucia płoną...

Do walki o rozszerzenie samodzielności kraju!...

***

Goście francuscy w Polsce.

Mariusz i Ary Leblondowie przyjechali do Polski w gościnę. Witał już ich w swych murach Poznań, witała Warszawa i Wilno — zagoszczą jeszcze w Kijowie, Lwowie i Krakowie. Polska podejmowała ich jako druhów serdecznych, a w goszczeniu tem kryła się myśl głębsza, wynikająca z odwiecznego stosunku Polski i Francyi.

Stosunki te datują się oddawna. Nawiązały w XVII w przez Królowę Maryę Ludwikę i Maryę Kazimierę. Stanisław Leszczyński był wybitnym tego stosunku przedstawicielem, a wyobrażał silne, dominujące oddziaływanie Polski na Francyę. Ruchy reformatorskie z końcem XVIII w. z całej Europy dotknęły jedynie Francyi i Polski, a ta różnica między niemi zachodziła, że u nas konstytucya 3. maja dokonała się bezkrwawo, gdy we Francyi spłynęła rzekami krew. Francya poniekąd Polsce zawdzięcza swe istnienie, wiadomo bowiem, że powstanie Kościuszkowskie, które się stało grobem państwa polskiego, zajęło Prusy, Rosyę i Austryę i odwróciło ich interwencyę we Francyi, która mogłaby się skończyć jak u nas, ruiną. Po upadku państwa polskiego stosunek przybrał formę niezwykłą: pokolenie Polaków przez żywot cały wojowało wespół z Francuzami o uniwersalne hasła wolności ludów. Po legionach mieliśmy równocześnie prawie w r. 1830 rewolucye w Polsce i Francyi, a po niej charakterystyczną epokę emigracyi polskiej do Francyi, okres depresyi Polski w r. 1863., Francyi w roku 1870, a wreszcie w ostatniem czterdziestoleciu niezwykle podobne odradzanie się organiczne.

Są to analogie niezwykłe. Powoduje je poniekąd podobieństwo temperamentów i — bodaj wspólne pochodzenie, wszakże istnieją hipotezy, znajdujące potwierdzenie w dzisiejszych podobieństwach pieśni i obyczajów — o pochodzeniu szlachty polskiej z Normandyi. Naród, przodujący w kulturze na Zachodzie, łączy się przez swych reprezentantów z siewcami kultury zachodniej na Wschodzie, ożywia się wzajemne zainteresowanie obu społeczeństw, które w pełnym rozwoju narodowym mają wspólną a największą przeszkodę w — Niemczech.

Quisque.

Pamiątki po Sobieskim w Ermitażu Petersburskim.

W Ermitażu Petersburskim znajdują się dary Papieża Inocentego XI, przysłane Sobieskiemu za zwycięstwo wiedeńskie, mianowicie czapka i miecz honorowy. Są to zabytki cenne nietylko jako pamiątki największego tryumfu Sobieskiego, ale także mające znaczenie dokumentu historycznego. Przechodziły koleje dość skomplikowane. Od króla dostały się Radziwiłłom przez siostrę Jana III, Katarzynę Sobieską, żonę Michała Kazimierza Radziwiłła. W r. 1783, podczas obchodu setnej rocznicy zwycięstwa wiedeńskiego w Nieświeżu, złożone zostały w kościele nieświeskim, u stóp wzniesionego na ten cel tronu. Po uroczystości jubileuszowej, przeleżały w skarbcu nieświeskim do r. 1813, t. j. do czasu, kiedy z powodu wstąpienia Dominika Radziwiłła do armii napoleońskiej, cały skarbiec nieświeski został skonfiskowany i do Petersburga przewieziony. Miecz i czapka znajdowały się czas pewien w Carskiem Siole, a następnie przeniesione były do Ermitażu. Czapka zachowana jest zupełnie dobrze. Jest to wysoki, cylindryczny kapelusz, z aksamitu ciemnokarmazynowego, wpadającego w odcień fioletowy, ozdobiony bogatym haftem. Wierzch pokrywa złota gwiazda, której promienie spadają do połowy kapelusza. Z prawego boku wyszyty jest perłami Duch Ś-ty, w postaci wzlatującego gołębia. Haft ten jest wielce misterny. Nimb dokoła głowy haftowany nicią złotą, a dziobek, oczy i nóżki z rubinów. U dołu kapelusza obiega wstęga, złotem i perłami haftowana, o wytwornym deseniu. Takież hafty dają się widzieć na bocznych dwóch kryzach i na wstęgach, spadających z tyłu.

Miecz jest arcydziełem w swoim rodzaju. Zwraca uwagę olbrzymiemi rozmiarami (długość — 201 cent., długość pochwy 153 cent., szerokość głowni u góry — 6.5 cent., a u dołu — 4.5 cent.) i wspaniale wykończoną rękojeścią, kutą ze srebra, pięknie cyzelowaną w ornamenta o motywach roślinnych, w górze zakończoną tarczą z herbem Klemensa X, zmarłego r. 1676 i z kluczami papieskiemi. Jeszcze przed paru laty na tej tarczy umieszczony był zakrywający ją zupełnie Orzeł Polski, w rysunku empirowy, nie odpowiadający stylem ani wykończeniem całości. Studya wykazały, że był to dodatek z r. 1829, gdy miecz miał służyć cesarzowi Mikołajowi I podczas jego koronacyi w Warszawie, zamiast Szczerbca. Obecnie dodatek ten usunięto i obok miecza, jako pamiątkę tylko, umieszczono.

Głownia miecza obosieczna, stalowa, grubo złocona, cała grawerowana w pięknie wijące się aż do dołu liście. W środku z obu stron, wyryte jest berło królewskie, z krzyżem na dół opuszczonym, a w szerokim, pojedyńczym żłóbku napis łaciński, który po polsku znaczy: „Inocenty XI Papież, w roku pierwszym swego pontyfikatu.“ Ponieważ Inocenty obrany został d. 21 września, a koronował się 4 października 1676 r., data więc powyższa oznaczać może tylko czas pomiędzy 21 września 1676 r. a 4 października 1677 r.

Pochwa cała srebrna, rzeźbiona na ażur i grubo złocona. W głębi przegląda aksamitna, karmazynowa podkładka. Rysunek rzeźby wytworny, misternie wykończony, przedstawia u góry dwa lwy leżące, a następnie szereg ozdobnych uzbrojeń rycerskich: dwa kołczany i strzały, na krzyż złożone; dwie chorągwie i lance na krzyż złożone i związane; szable, buzdygany i czekany; dwie armaty skrzyżowane. Szereg ozdób zakończa u dołu wielka muszla i głowa karyatydy. Niżej orła znajduje się klamra, do przeciągnięcia przez nią pasa.

Pas jest wykonany z jedwabnej materyi karmazynowej, zdobnej haftem, i frendzlą złotą Wśród haftu herb Inocentego XI pięć razy się powtarza; takiż herb widać na jednej z klamr, kończących pas, a na drugiej napis zgadzający się z datą główni. Ale data owa stoi w sprzeczności z umieszczonym na rękojeści herbem Klemensa X, który umarł 10 lipca 1676 r., a w większej jeszcze w sprzeczności z tym faktem stwierdzonym, że dary te ani przez Klemensa X, ani też w r. 1676 przez Inocentego XI, lecz dopiero w r. 1684 zostały przesłane Sobieskiemu. Sprzeczności te należy wytłumaczyć.

Ofiarowanie czapki i miecza honorowego przez Papieży było uważane za wielce zaszczytne odznaczenie, udzielane od początku XII w. tylko najznakomitszym królom i wojownikom, za osobliwe zasługi dla Kościoła, a w szczególności za walkę z niewiernymi. Sobieski, będąc jeszcze hetmanem, marzył o podobnem odznaczeniu. Po zwycięstwie chocimskiem przesłał do Rzymu wielki, zdobyty na turkach sztandar, w nadziei, że wzamian owo odznaczenie dostanie. Trudną tę misyę dyplomatyczną powierzył Chryzostomowi Gnińskiemu, który z niezupełnym ją prowadził skutkiem. Jako ślad tych starań, znajduje się w Archiwum Watykańskiem brulion listu Klemensa X z d. 7 czerwca 1674 r., w którym Papież donosi, jakoby już o wysłaniu przyobiecanych darów. Ale brulion został brulionem, bo nie mamy śladu żeby list ten został doręczony Sobieskiemu, a co do darów, wiemy, że ich wówczas nie otrzymał.

Z herbu tylko Klemensa X, umieszczonego na rękojeści, domyślać się można, że istotnie za pontyfikatu tego Papieża miecz dla Sobieskiego był już przygotowany. W latach 1676 i 1677 Sobieski ponowił rokowania, ale i tym razem bezskutecznie, gdyż stanęła na przeszkodzie polityka francuska, w którą się uwikłał Sobieski pod wpływem Marysieńki. Inocenty XI, chcąc zjednać dla siebie Sobieskiego i oderwać go od wpływów francuskich, skłania się do dania mu oznak honorowych (wówczas zapewne napisy cytowane wyżej wyryć kazał), ale i wtedy stanęła na przeszkodzie Marysieńka, żądając, aby jednocześnie i jej także dano niemniej zaszczytne odznaczenie, t. zw. Różę Złotą. Darmo wymawiał się nuncyusz formalnościami i prosił o zwłokę, wola jej, a raczej kaprys był nieprzełamany. Skutkiem tego, ofiarowanie Sobieskiemu tak zasłużonych odznaczeń znów zostało odłożone. Dopiero zwycięstwo wiedeńskie przechyliło szalę na korzyść Sobieskiego. Ale Marysieńka i wtedy nie uległa. Inocenty XI musiał ustąpić. Wysłał on w r. 1684 przez nuncyusza Pallaviciniego nietylko miecz i czapkę dla króla, ale także Różę dla Marysieńki. I może jedynem tylko zwycięstwem w tej szermierce dyplomatycznej było pozostawienie na mieczu dawnych herbów i napisów, jako dowodów długich starań Sobieskiego.

Wspaniała ceremonia, odbyta w Jaworowie, towarzyszyła wręczeniu tych darów. Po Mszy solennej, nuncyusz Pallavicini włożył na głowę Jana III czapkę, opasał go mieczem, a potem wręczył królowej Złotą Różę. Asystowali temu aktowi liczni senatorowie, oraz posłowie: cesarski, francuski, wenecki i dwóch włoskich.

Wesołość to szczęście.

Powiedziano, że człowiek osiąga w życiu tyleż przez spokój duszy, co przez talent. Bądź co bądź, to pewna, że nasze szczęście głównie zawisło od naszego stałego usposobienia, naszej cierpliwości, pobłażliwości, i od naszej względności dla otaczających. Prawdziwem jest słowo Platona, że szukając dobra innych, znajdujemy swoje.

Niektóre natury tak są szczęśliwie wyposażone, że umieją we wszystkiem odnaleźć coś dobrego. Bo też niema nieszczęścia tak wielkiego, któreby nas nie mogło doprowadzić do uspokojenia i pociechy; niema nieba tak ciemnego, iżby z jakiego kawałka nie zabłysnął promień; a chociaż słońce ukrywa się przed naszemi oczyma, to jednak łagodzi nas ta myśl, że ono istnieje, lubo ze słusznego pewnie powodu przed nami zasłonięte.

Takie szczęśliwe natury godne są zazdrości. W oczach ich błyszczy słońce wesołości, chrześcijańskiej miłości, filozofii, czy jak kto chce to nazwać. Słońce mają w sercu, a dusza ich ozłaca wszystko, co się do niej zbliża, swoim własnym blaskiem. Ci ludzie znoszą trudy lekko, bez gniewu i żółci, nie rozpraszając swej energii na próżne narzekania, ale dzielnie walcząc i każdy kwiat zbierając, co się na ich drodze rozwinął.

Nie trzeba wszakże sądzić, że ludzie, o których mówimy, słabi są i bezmyślni. Najbogatsze i najdzielniejsze natury, są zwykle nadzwyczaj uprzejme, najweselsze i najpewniejsze siebie. Mądry człowiek, patrzący daleko, pierwszy dojrzy ów moralny promień słońca, przebłyskujący z najciemniejszych obłoków. W nieszczęściu chwilowem upatruje szczęście w przyszłości; w boleści widzi natężenie natury, celem przywrócenia zdrowia; w przykrych doświadczeniach poznaje moc oczyszczającą, a ze zgryzot i cierpień odwagę czerpie, wiedzę i najwyższą praktyczną mądrość.

Jakkolwiek wesoły humor zależnym jest w wysokim stopniu od temperamentu wrodzonego, ale się i on jednak, tak jak każde inne przyzwyczajenie, wyrobić może i ustalić. Życie nasze możemy zrobić najlepszem, ale i najgorszem, bo od nas niemało zawisło, czy radość, czy smutek ściągamy na siebie. Życie przedstawia zawsze dwie strony, na które możemy patrzeć wedle naszego wyboru, to jest jasną i ciemną. Możemy przeto siłę naszej woli skierować ku temu wyborowi i nabrać przyzwyczajenia w uważaniu się za szczęśliwego, lub przeciwnie. Możemy usposobienie w sobie wyrobić, usposobienie patrzenia na rzeczy nie z najciemniejszej, ale z najjaśniejszej strony.

Promień słoneczny w oku rozlewa na wszystkie życia fazy jasność, piękność i radość. Zimno rozgrzewa, cierpienie pociesza, nieświadomość oświeca, troskę łagodzi. Użycza nawet inteligencyi blasku, a urodę zwiększa. Bez niego kwiaty kwitną nadarmo, dziwy nieba i ziemi przechodzą niepostrzeżenie, a całe stworzenie wydaje się czemś pustem, bez celu i bez duszy.

Wesołe usposobienie będąc bogatem źródłem szczęścia w życiu, jest zarazem wiernym stróżem charakteru. Pobożny pisarz naszych czasów, odpowiada na pytanie: „Jak mamy pokonywać pokusy?“ w następny sposób: „Naprzód: wesołością,



Artur Grottgnr.

„Kometa.“ — Z cyklu „Wojna.“

potem wesołością, a potem znowu wesołością.“ Ona najlepszy daje grunt do uprawy dobroci i cnoty, sercu ulgę przynosi, ducha dzielnym czyni; ona jest towarzyszką miłości, piastunką cierpliwości, matką mądrości. Jest także pomiędzy moralnymi zasobami najpotężniejszym. „Najlepszem lekarstwem jest wesołość“ mawiał pewien wybitny lekarz do swych chorych, a Salomon rzekł: „Dobre serce tyle sprawia ulgi, co lekarstwo.“

Wesołość nazwano pogodą serca. Wnosi ona w duszę harmonię, będąc ciągłym śpiewem bez słów, a oznacza tyle co spokój. Pozwala naturze na odnowienie sił, gdy przeciwnie zgryzota i troska zużywają je i osłabiają.

Najsilniejszy magnes.

Mimo, że się zbyt wiele może mówi o zadaniu i powinnościach kobiet, panuje w tym kierunku najdziwniejsze pomieszanie pojęć i większy niż kiedykowiek zamęt.

Zmienił się nastrój społeczny w wielkich miastach, zmienił się pogląd na małżeństwo — które przestało być uważane za konieczność ale pozostaje zawsze najwięcej pożądanym celem większości kobiet.

I oto czytamy często i spotykamy się w życiu ze zdaniem iż jednym z koniecznych warunków szczęścia małżeńskiego a zarazem najsilniejszym magnesem, prowadzącym mężczyznę do ołtarza — jest umiejętność gotowania.

Chociaż nie wątpię, że w naszych zmateryalizowanych czasach, wygody życiowie grają pewną rolę, jednakże tym razem wypada nam stanąć w obronie mężczyzn.

Gdyby bowiem umiejętność kucharstwa przedstawiała największą siłę przyciągającą, to dobre kucharki cieszyłyby się największem powodzeniem, i byłyby najwięcej poszukiwane.

Tymczasem bynajmniej tak nie jest — zdarza się, iż jakiś stary, wystygły kawaler, albo wdowiec, żeni się jak to się popularnie mówi: „wedle wiktu i opierunku“, ale po pierwsze żadna kobieta z sercem i poczuciem godności nie życzy sobie tego rodzaju zaopatrzenia na przyszłość, powtóre, człowiek taki, który nawet żeniąc się, tylko siebie, a nie wybraną swoją ma na myśli, prawdopodobnie musi być egoistą i nie zapewni wesołego życia swojej żonie.

Nie ubliża to zresztą nic wielce użytecznej umiejętności smażenia befsztyków, przyprawiania smakowitych zup, jarzyn, legumin, przyrządzania miłych dla podniebienia a zdrowych i posilnych potraw, ale pozostaje fakt, że wiedza kucharska i praktyczność choć bardzo cenne, nie są zaletami, zapewniającymi szczęście w małżeństwie, i nie one prowadzą najoporniejszych na ślubny kobierzec.

Bo weźmy ten przykład.

Czyż mężczyzna czuć się będzie szczęśliwy, choćby żona jego posiadała kunszt kucharski w najwyższej doskonałości, jeśli może się spodziewać, że w razie spóźnienia na obiad, lub innnego uchybienia, zawartość dymiących rondli wylana mu zostanie na głowę? A więc bynajmniej nie wiedza i umiejętność kucharska jest najlepszym łącznikiem małżeństwa.

Tym najsilniejszym magnesem, który wszystko pokona i przezwycięży, jest zupełnie co innego — a mianowicie urok kobiecości, złożony z dobroci i skromności a zarazem wytrwałej siły charakteru.

Sama łagodność i słodycz nudzi i męczy, wszelka bierność sprzeciwia się wyższej szlachetności, bo kobieta taka nie ma własnego zdania, chwieje się za każdym podmuchem w tę lub tamtą stronę.

A więc dobroć musi się składać z siły ducha, która nie ustąpi gdy chodzi o zasadę — i z łagodności, umiejącej tej nieugiętości nadać pozory miłe i ujmujące.

I ta wyższa dobroć, do której potrzeba rozumu, ta większa czystość zasad, ta pełna delikatności godność osobista, stanowią w istocie magnes najsilniejszy, do którego mężczyzna ciągnie, któremu się z ochotą poddaje.

Oczywiście i takie kobiety czasami bywają nieszczęśliwe w małżeństwie, ale tylko wtedy, jeśli rzeczywiście człowiek, który je poślubił, jest bardzo małej wartości, a dziś gdy małżeństwa z przymusu już prawie nie istnieją, zdarza się to niezmiernie rzadko, bo dobra, rozumna i szlachetna kobieta wybierając z własnej woli, prawie się nie myli.

W zwykłych zaś warunkach, gdzie łączą się mniej więcej dobrane pod względem wartości charaktery, zaiste nic tak nie zapewnia spokoju i szczęścia rodzinnego, jak taka mądra, wyrozumiała dobroć żony i matki. Dobra bowiem kobra bowiem kobieta pragnie całe otoczenie uszczęśliwić, stara się znaleźć to właśnie, co komu potrzeba. Jeśli więc mężowi zależy na wykwintnej kuchni, to się nauczy gotować, choć poprzednio nie miała o tem pojęcia; jeśli mu do szczęścia potrzebne, aby umiała gości przyjmować i błyszczeć w towarzystwie, to i do tego się przystosuje, choćby ją to w gruncie rzeczy nudziło; jeśli on zajmuje się przemysłem, nauką, sztuką, to i ona wkrótce będzie mu pomocą i natchnieniem, bo pragnieniem jej najwyższem, to uszczęśliwienie, a rozum i wrodzony takt wskazuje sposoby.

Ale dobroć ta kobieca polega przedewszystkiem na przezwyciężeniu własnego egoizmu, na zaparciu siebie, na poświęceniu codziennem w najdrobniejszych szczegółach i dlatego w dzisiejszych czasach coraz rzadziej się spotyka.

Nie jest to bynajmniej wina równouprawnienia, ale materyalistycznego wychowania — egoistycznego hasła, „każdy dla siebie.“

We wszystkich stosunkach ludzkich panuje wszechwładnie interes — więc mimowoli w tej suchej i poziomej atmosferze coraz rzadziej zakwita wonny kwiat poświęcenia, coraz rzadziej znajdują się istoty czyto wśród mężczyzn czy wśród kobiet, któreby nie miały tylko własnego zadowolenia na celu.

Ale o ile miłość wywołuje miłość, i dobroć płaci się dobrocią, o tyle samolubstwo zaostrza wspólne stosunki, i przyczynia się, że mimo, iż małżeństwa zawierane są dziś na podstawach uczciwszych, nie są przez to wiele szczęśliwsze.

Nie można jednak za to winić ani mężczyzn, ani kobiet — ale raczej cały ustrój społeczny, który uznając prawo walki o byt, zmusza nieledwie do rozwoju samolubstwa.



Król Stefan Batory na łowach.

Pierścienie zaręczynowe.

Wianek, welon i pierścień — przedmioty te nieodzownie się zjawiają podczas uroczystego aktu zawierania małżeństwa. Zielony wianek mirtowy jest symbolem rozkwitającej młodości dziewiczej; długi, biały, powiewny welon symbolizuje tajemniczą przemianę dziewicy w kobietę. Dwie te ozdoby stroju, które już u Greczynek i Rzymianek spotykamy, oznaczają nadto znikomość rzeczy i spraw doczesnych: zielony wianek rychło więdnie, również rychło się rozpada delikatny welon. Natomiast pierścień złoty, którego kształt okrągły jest symbolem wieczności i stałości, a metal szlachetny oznacza szczerość i czystość — pierścień tedy symbolizuje prawne, bezsporne posiadanie, a także poważne i stateczne pragnienie dwojga ludzi należenia do siebie na zawsze. Inaczej mówiąc, materyał i forma złotego pierścienia, razem wzięte, tworzą znaczenie uroczystego przeznaczenia stałości uczucia.

Znaczenie to jednak wyrobiło się dopiero z czasem. Znaczenie pierwotne było zgoła inne, nie miało podkładu duchowego. Narody starożytne wszystkich ras: Babilończycy, Indowie, Żydzi, Grecy, Rzymianie i Germanowie, zawierając małżeństwo, kupowali kobietę; taka forma aktu małżeńskiego utrzymuje się po dziś u mahometan, Polinezyjczyków, Chińczyków i Japończyków. Dlatego pierścienie zaręczynowe posiadały kształt kolisty, równie jak monety, a nawet u Egipcyan złote i srebrne pierścienie zastępowały pieniądz. Z biegiem czasu, kupno prawdziwe stało się pozornem. U Rzymian narzeczony wkładał na palec wybranej prosty, żelazny pierścień. Był to niejako akt prawny, oznaczający obejmowanie kobiety na własność, co potwierdza ta okoliczność, że narzeczony nie otrzymywał wzajem od narzeczonej pierścienia.

Pojęcie aktu małżeństwa, poprzedzonego zaręczynami, jako kupna kobiety, przechowało się w Europie do XV wieku. Zwyczaj ofiarowywania pierścienia narzeczonej przy zaręczynach narody

europejskie przejęły od Rzymian a uświęcił go swoją powagą Kościół. Przez całe Średniowiecze utrzymał się też zwyczaj ofiarowywania pierścienia tylko ze strony mężczyzny. Prawo przytem głosiło: „Jeżeli dziewica otrzyma pierścień od narzeczonego, już też przez niego zamówioną.“ Taka forma zaręczyn i takie określenie prawne utrzymywały pojęcie kupna kobiety. Dopiero w końcu Wieków Średnich pojęcie to ustępuje, zaręczyny i akt małżeński nabierają właściwego znaczenia, o podkładzie uczuciowym. Wówczas też zobowiązanie staje się obustronnem, odtąd datuje się przy zaręczynach wzajemna zamiana pierścieni.

Nietylko symbolika zaręczynowego pierścienia przechodziła rozmaite zmiany w ciągu wieków — ulegała również zmianom jego forma. Tu działał rozwój pojęć i upodobań artystycznych. Rozpatrując się w owych pierścieniach, pochodzących z różnych epok, przechowywanych w muzeach, możemy śledzić poglądowo te zmiany. Badania doprowadzają nas do smutnego wniosku, a mianowicie, że w żadnym dziale przemysłu złotniczego, wysoko ongi stojącego pod względem artystycznym, nie spostrzega się takiego upadku, jak w dziale pierścieni zaręczynowych. Po kształtach prostych pierścieni z XIII w., widzimi pierścienie z okresu rycerskiego i Odrodzenia, pięknie zdobne, widzimy podnoszący się smak, rozwijający się artyzm. Pierścienie z okresu Rokoka i Baroka odznaczają się większą jeszcze pomysłowością, ozdoby stają się więcej kunsztownemi. W okresie Wielkiej Rewolucyi zdobniczość znika, widzimy znów formy proste. W okresie Cesarstwa mamy pierścienie bogate, ale ozdoby nie odznaczają się wytwornością, są sztywne, suche. W ostatniem ośmdziesięcioleciu spostrzegamy znów upadek tak, że obecnie pierścień zaręczynowy przedstawia się jako szersza lub węższa, grubsza lub cieńsza obrączka, której całą ozdobą jest kamień. Słowem dzisiejszy pierścień zaręczynowy nie różni się wiele od obrączek, używanych do podpinania firanek lub portyer. Pierścień zaręczynowy mija się tedy dzisiaj z celem swoim właściwym wszechstronnie. Posiadając kształt prosty, gróby, pozbawiony ozdób artystycznych, nie jest ani ozdobą ręki, ani też symbolem miłości i stałości. Wina to złotnictwa, które coraz bardziej oddala się od sztuki, stając się wprost rzemiosłem. Objaw ten, świadczący o zanikaniu upodobań estetycznych, o zanikaniu myśli głębszej i wyższej, nie należy do pożądanych. Zwrót do wzorów dawnych, starożytnych i średniowiecznych, uszlachetnianie ich i przystosowywanie do tegoczesnych pojęć — oto droga do naprawienia złego.

Złote ziarna.

Im człowiek dłużej żyje na świecie, tem więcej tajemnic widzi przed sobą.

Słabi tylko giną w objęciach przeciwności; dla silnych ona jest krzepiącym pokarmem.

Duże gadanie — mała robota zwykle chodzą z sobą w parze.

Miarowym, równym krokiem, prędzej staniesz u celu, niż skokami, od których ustaniesz w drodze.

Szukamy za szczęściem daleko, oglądamy się za niem wszędzie, a nie spostrzegamy, że tuż przy nas stoi.

Naszem królestwem — to ludzkie serca, naszą służbą — ludzkie dobro, naszem szczęściem — ludzkie zaufanie.

Odwaga i wytrwałość pokonywują największe przeciwności. Niema nic niemożliwego dla tych, którzy chcą chcieć i cierpieć. Tych, którzy zasypiają leniwo, warto przerażać i obciążać.

Często czynimy ludzi lepszymi, sądząc, że są dobrzy; gorszymy ich, posądzając o zło, a przynajmniej zniechęcamy ich serca, częstokroć na zawsze.

Sztuczne dyamenty.

Jak wiadomo, przy zwykłej temperaturze znachodzimy węgiel w trzech postaciach jako ciało stałe: skrystalizowany jako dyament lub grafit, nieskrystalizowany lub bezpostaciowy jako antracyt. Obie pierwsze formy wytworzyły się niewątpliwie z płynnego węgla i wydzieliły się z niego podczas obniżania się temperatury. Ale płynnego węgla, a tem mniej wstanie lotnym nikt jeszcze dotąd nie widział; temperatury, przy których wę-



Widok z tatr.

giel może istnieć w stanie płynym lub lotnym, są tak wysokie, że jeszcze przed dziesięciu laty nie można było ich osiągnąć. Dopiero, kiedy głośny chemik francuski Moissan stwierdził, w jaki sposób można wykorzystać technicznie wysoką temperaturę elektr. lampy łukowej, rozszerzył zakres swych badań także na węgiel. Niebawem jednak przekonał się, że tylko wtedy udawało się otrzymać małe ilości węgla w stanie płynnym i spowodować w następstwie krystalizacyę, jeżeli równocześnie z wysoką temperaturą zastosowano wysokie ciśnienie. Jak wiadomo, Moissan otrzymywał wreszcie drobne, czarne dyamenciki w ten sposób, że topił wępiel w płynnym żelazie, a następnie ochładzał nagle całą masę. Kurczyła się ona, wywierając ogromne ciśnienie na zawarty w niej płynny węgiel, który dzięki temu krystalizował.

W ostatnim czasie — jak donosi „Nuovo Cimento“ — podjął doświadczenia Moissana włoski fizyk La Rosa i zdołał je znacznie udoskonalić i rozwinąć. Przedewszystkiem zauważył on, że przy użyciu t. zw. „śpiewającego“ łuku świetlnego można osiągnąć znacznie wyższe temperatury, ani-

żeli posługując się zwykłą lampą łukową i że — co ważniejsza — można się wtedy obyć bez nazbyt wysokiego ciśnienia. La Rosa używał czystego węgla cukrowego jako elektrodów; elektrody te miękły i gięły się na końcach, z czego można było wysnuć wniosek, że znajdują się one na drodze do przejścia w stan płynny. Dalszą konsekwencyą była myśl wytworzenia go w ten sposób. Próby potwierdziły prawdziwość pomysłu. Przy pomocy iskier bateryi 72 wielkich flaszek lejdejskich pozyskał wreszcie La Rosa drobne kryształki, które mogły zarysować rubin. Ponieważ do fabrykacyi używał tylko czystego węgla, więc były to niewątpliwie drobne dyamenciki. Czy jednak uda się udoskonalić metodę do tego stopnia, aby można osiągnąć praktyczne wyniki, nie wiadomo; rozstrzygnie to dopiero przyszłość. W każdym razie nazwisko uczonego i cała jego dotychczasowa działalność, dają gwarancyę, że że dyamenty jego nie są z rodzaju tych, jakie rzekomo fabrykowali Lemoine i inni sprytni oszuści, o których już dawno słuch zaginął.

Połów jesiotra amerykańskiego.

Nazwa jesiotra amerykańskiego nie wiele mówi amatorom rybołówstwa. Niech się jednak nieuctwa swego w tym razie nie wstydzą.

Mieszkaniec wód Florydy, tak zwany „Silver King“ — „król o liberyi srebrnej“, od bardzo niedawna dopiero znanym się stał mieszkańcom Świata Nowego. I tylko od trzech czy czterech lat połów tej ryby stał się jedną z rozrywek wielkiego sportu, tak drogich bogatym próżniakom z New Yorku czy Waszyngtonu.

Ryba ta jest przypuszczalnie największą z ryb wód słodkich świata całego. Całkowita długość dorosłego egzemplarza wynosi przeszło dwa metry, a okaz tej wielkości waży przeszło 200 funtów. Gdy wyskakuje z wody, często na wysokość 7—8 metrów, połyskujące na słońcu ciało jego daje odblaski srebrzyste i oślepiające.

Jako stały mieszkaniec dopływów zatoki Meksykańskiej, spędza czas swego dzieciństwa w jeziorach i rzekach Florydy. W miarę wzrastania okazuje coraz wyraźniejszą chęć przesiedlania się do ujść rzek, skąd wyrusza już często do wód słonych w pogoni za drobną rybką. Rzadko jednak widziany bywa na pełnem morzu, gdzie groziłoby mu spotkanie z rekinami.

Nadzwyczajna ruchliwość tej ryby musiała zwrócić prędzej czy później uwagę amatorów połowu ryb na przynętę, kiedy dla przyjemności tej nie cofają się nawet przed zwiedzaniem niezdrowych i bezludnych wybrzeży Florydy.

Lecz skoro rybak dostanie się wreszcie do wód, odwiedzanych przez piękny ten okaz, niedługo już zwykle wypada mu czekać na uchwycenie przynęty, którą stanowi niewielka rybka, a wtedy lina wypręża się silnie, ciągnięta przez złowioną rybę. Zaczyna się walka. Zrozpaczony raną, spowodowany haczykiem, jeniec robi, w celu oswobodzenia się, nadzwyczajne wysiłki. Od czasu do czasu skacze w powietrze, zakreślając fantastyczne łuki, przyczem otwiera szeroko paszczę, jak gdyby chcąc połknąć niewidzialnego prześladowcę. To znowu nietylko nie ucieka od łodzi lecz przeciwnie rzuca się na nią i przepływa pod nią z takim rozmachem, że nieraz lina się zrywa, o ile, tracąc równowagę, rybak nie zostanie wrzucony do wody.

Odważna ryba w repertuarze swym niejeden ma podstęp. Gdy uczuje, że lekka łódź oporu nie stawia ciągnie ją za sobą na pełne morze, razem z nieostrożnym rybakiem, który przestraszony wkońcu decyduje się ostatecznie na przecięcie liny. Wystający z wody grzbiet rekina, kręcącego się w pobliżu miejsca walki, doradza bowiem rybakowi szybki odwrót.

Zdarza się też często, że akrobatyczne wysiłki ofiary grożą niebezpieczeństwem życia rybaka nawet w razie, gdy wioślarz usiłuje utrzymać poważną odległość między łodzią a jesiotrem. Szalone a niespodziewane skoki jego rzucić mogą nieostrożnemu rybakowi, ze znacznej wysokości, cały ciężar 200 funtów na głowę lub plecy.

Gdy jednak lina jest mocna, jeśli haczyk nie zerwie się podczas walki, trwającej od 30 minut do półtory godziny, jeśli muskuły rybaka wytrzymają próbę oporu i zręczności, wyczerpana ryba daje się ostatecznie wciągnąć do łodzi.

Sufrażystka w kominie.

Sufrażystki angielskie, które już od roku usiłują za jakąbądź cenę wtargnąć do parlamentu, aby tam wywołać awanturę, opanować trybunę, proklamować z niej prawo wyborcze dla kobiety i dzięki tej manifestacyi zwrócić na siebie uwagę całego świata, nie zaniechały dotychczas swego zamiaru. Raz tylko udało się jednej z sufrażystek wpaść na chwilę do sali posiedzeń i zrzucić z trybuny plikę papierów. Miała wśród posłów



KWIATY.

krewniaka, zataiła przed nim swoją przynależność do „ligi“ i prosiła z minką niewinną o pokazanie jej parlamentu. A gdy się znalazła na korytarzach, odepchnęła nagle kuzyna i dwu policyantów, pobiegła pędem do sali obrad poselskich i zanim ją wyrzucono za drzwi, narobiła trochę nieporządku. Wszystkie inne próby wtargnięcia do parlamentu zawiodły. Nie udało się kilka szturmów zbiorowych, bo policya grzecznie, ale stanowczo odparła atak sufrażystek. Nie udał się podstęp z „koniem trojańskim“, bo wóz meblowy, w którym ukrył się legion sufrażystek, wjechał wprawdzie na dziedziniec parlamentu, ale gdy z niego wyskoczyły wojownicze damy, służba w mgnieniu oka wyparła je na ulicę i na placu została tylko kupa połamanych parasolek i pomiętych kapeluszy. Obecnie jedna z sufrażystek, pani Emilia Wildin Dawison, usiłowała przez komin dostać się do sali posiedzeń, a lubo zamiar się nie udał, pochwaliła się przed publicznością angielską swoją odwagą, ogłaszając w jednym z dzienników londyńskich szczegóły swojej junackiej wyprawy.

„W sobotę weszłam do pałacu Westminserskiego razem z tłumem zwiedzających. Poprzednio zaopatrzyłam się w plan tego gmachu i udając, że słucham objaśnień przewodnika, myślałam tylko, jakby się odłączyć od reszty i ukryć do poniedziałku, aby się w dniu obrad ukazać nagle przed p. Asquith i poradzić mu, aby zamiast zajmować się Izbą lordów, do Izby gmin wprowadził kobiety. Skorzystałam z pierwszej sposobności i zakradłam się do jadalni, ztamtąd weszłam na korytarzyk. Były w nim drzwi z napisem:

„osobom prywatnym wstęp wzbroniony“. Ma się rozumieć weszłam. Pokój był pusty. O dwie stopy nad ziemią były w ścianie drzwiczki lustrzane. Otworzyłam je i zobaczyłam rodzaj kominka; obok stała żelazna drabina. Po trzydziestu stopniach tej drabiny weszłam na małą platformę. Naprzeciw było małe okienko wychodzące na wieżę Wiktoryi. Tu się ukryłam. Na zapas wzięłam dwa banany, tabliczkę czekolady i kilka pastylek od kaszlu. Niebawem chwyciło mnie okropne pragnienie. Spostrzegłam, że jestem w rurze do ogrzewania. Było mi tak gorąco, że aż omdlewałam. Mimo to przez całą dobę nie opuściłam tej placówki, wreszcie, nie mogąc już zwalczyć pragnienia, zeszłam po drabinie, otworzyłam lustrzane drzwi i znalazłam się znowu w pokoju. Na stole stała karafka. Wysączyłam ją do połowy. W cztery godziny potem zeszłam znowu, aby się napić, ale w pospiechu rozlałam trochę wody. To zdradziło moją obecność. Zaledwie usadowiłam się w mojej kryjówce, wszedł policyant i wyrugował mnie z gmachu. Tak się skończyła moja Odyseja.“

Jubileusz Józefa Chociszewskiego w Gnieźnie.

Poznań, w kwietniu 1910.

W roku bieżącym obchodzi weteran dziennikarstwa naszego, zasłużony dla sprawy polskiej, kilkakrotnie fortecą i więzieniem karany redaktor i wydawca Józef Chociszewski z Gniezna swój pięćdziesięcioletni jubileusz pracy znojnej i obfitej w plon idealny. Stanął on od zarania młodości w jednym szeregu z tak zasłużonymi mężami, jak Paweł Stalmach, Karol Miarka, ks. Tomicki, Julian Krasiewicz, Ignacy Danielewski, ks. Bartoszkiewicz, ks. Połomski, Jagielski, Łyskowski, Józef Gółkowski, Karol Kozłowski i inni i po dziś dzień wiernie wytrwał przy sztandarze, na którym wypisana była gorąca miłość ojczyzny, oświata ludu i poświęcenie dla sprawy. Niósł jej w ofierze swój talent, życie, zdrowie i płomień ożywczy gorącego swego serca. Wobec tego Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów polskich postanowiło uczcić zasłużonego weterana, znanego autora „Dziejów Narodu“, „Piśmiennictwa polskiego“ oraz setek wydawnictw popularnych i dać pobudkę do zebrania dlań daru honorowego, aby wyrazić mu w ten sposób szczery szacunek i uznanie za jego pracę dla ludu i młodzieży i osłodzić ostatnie dni znojnego jego życia.

Wzywamy niniejszem całe społeczeństwo nasze, jednostki i towarzystwa, dla których całe życie działał, do składania datków na dar honorowy dla Józefa Chociszewskiego. Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów przeznacza na ten cel 100 marek.

Datki prosimy przesyłać na ręce redakcyi polskich.

Zarząd Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów Polskich.

Józef Kościelski, prezes. Stefan Chociszewski wiceprezes.
Tadeusz Jaworski, sekretarz. Konstanty Kościński, skarbnik.
Ks. Józef Kłos. Ludwik Mizerski.
Karol Rzepecki.

Na dar honorowy dla Józefa Chociszewskiego w Gnieźnie ofiaruje redakcya nasza 5 mk.

Prosimy o dalsze nadsyłanie składek.

Nasze ilustracye.

Kometa — jest to jeden obraz z cyklu pod ogólną nazwą *„Wojna“* — dzieła genialnego mistrza naszego *Artura Grottgera.* Obraz ten przedstawia pojawienie się komety, który lękiem napełnia zgromadzoną po prawej stronie rodzinę polską. „Znak niebieski“ — wróżba wojny i nieszczęścia. Rok 1863.

Stefan Batory na łowach. — Nasz król Stefan Batory zapalonym był myśliwym. Najulubieńszą jego rozrywką w chwilach wolnych i spokojnych, było podejmowanie wypraw na grubego zwierza. Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, jak król Batory mierzy strzał celny w rzucającego się nań potwornych rozmiarów niedźwiedzia.

Widok z Tatr przedstawia nam obrazek następny. Złomy skał, zgruchotane wichurą dęby i ten wodospad, który rwie naprzód z siłą i łoskotem. Kto chce duszę upoić cudnymi widokami, a ciało pokrzepić zdrowym, górskim powietrzem — niech spieszy w Tatry, te polskie góry; temu śpiewamy za Wincentym Polem: „W góry, w góry! miły bracie, tam swoboda czeka na cię!...

Kwiaty. — Maj, wiosna — łąki kwietne i ogrody. Poszła urocza białogłowa do ogrodu, narwała kwiatów moc, choć sama piękna jako kwiat.

Na czatach wreszcie siedzi, jakby żywy, jamnik, filuternie zerka na kołującego dokoła niego komara albo muchę i myśli sobie: chwileczkę, a zjem cię!...



Na czatach.

Ludzie a... psy.

Ileż to razy ludzie niesłusznie krzywdzą psów, mówiąc o złym człowieku: „To pies a nie człowiek;“ „zły, jak pies“ i t. p. Gdyby psy wiedziały, jak ich ludzie szkalują, zapewne zaprotestowałyby przeciwko temu energicznie.

Bliższa obserwacya zwierząt daje liczne dowody, że w państwie zwierzęcem nie spotyka się takich wyrodków, jak wśród ludzi. Szczególniej psy, szkalowane tak często, wyróżniają się niezwykłą, nie spotykaną wśród ludzi szlachetnością i przywiązaniem do swych opiekunów.

Na dowód przytoczę drobny, a jednakże wiele

mówiący obrazek, drukowany w ostatnim „Mazurze“.

We wsi Budy Borowskie, w Płockiem, zmarła kobieta nazwiskiem Kuczmeńska. Podczas pogrzebu za zwłokami swej gospodyni poszedł pies. Odpędzany przez ludzi, przedostał się jednak na cmentarz i gdy ludzie rozeszli się do domów, on pozostał na cmentarzu i położył się na świeżo usypanej mogile. Przeleżał tam parę dni; wreszcie udało się grabarzowi zgłodniałe i wychudzone zwierzę wypędzić z cmentarza. Biedne psisko powlokło się do domu, położyło się pod drzwiami i nie chciało tknąć żadnego jedzenia. W parę dni szlachetne zwierzę zdechło z głodu.

Czy wobec tego świeżego przykładu szlachetności psów można mianem „psa“ nazywać złego człowieka?

WIELICZKA.

Dnia 17. maja 1910 we wtorek po południu będzie kopalnia soli w Wieliczce dla zwiedzających rzęsiście oświetloną.

Zjazd do kopalni rozpocznie się szybem Arcyksięcia Rudolfa o godzinie 1.30 po południu.

Wstęp do kopalni 5 koron od osoby — z użyciem windy parowej 6 koron.

Biletów wstępu będzie można nabyć tylko w dniu zwiedzenia przy kasie przed szybem zjazdowym.

Pociąg odchodzi z Krakowa do Wieliczki o godzinie 12.40 (pociąd nadzwyczajny), 1.30 po południu, zaś z Wieliczki do Krakowa o godzinie 5.30, 6.55 (pociąg nadzwyczajny), 8.45 i 10.05 wieczorem.

Czysty dochód przeznacza się na cele dobroczynne w miejscu.

Wieliczka, 1. maja 1910.

C. k. Zarząd salinarny.

Od Redakcyi.

— **Wszelkie reklamacye** są wolne od opłaty pocztowej, a tytuł trzeba dodawać: *Reklamacja* wolna od opłaty pocztowej.

Łamigłówki.

1) Szarada:

Wiadomo przecie
Że dobrze *pierwsze*; *trzecie*
Kto z *pierwszej*, *drugiej*, *trzeciej*
Pożytek sobie kleci.
Wspak *drudzy*, *trzeci*, *czwarci*
I *wszyscy* dużo warci.

2) Kwadrat magiczny.

1	2	3	4	5
6	7	8	9	10
11	12	13	14	15
16	17	18	19	20
21	22	23	24	25

Liczby w powyższym kwadracie rozstawić tak, że suma ich w każdym rzędzie pionowym, poprzecznym i przekątnym równać się będzie 65.

DLA NASZEJ DZIATWY.

Ludzie, ludzie, wy nie wiecie,
Że jest szczęście na tym świecie.
Patrzeć w niebo, gonić okiem
Za gwiazdeczką, za obłokiem,
Słuchać pieśni, którą śpiewa
Naszej duszy duch przyrody:
W głosie ptasząt, w dźwięku wody,
W szeleszczących liściach drzewa;
I nawzajem wysnuć z siebie
Pieśń piękniejszą, pieśń marzenia,
O aniołach, i o niebie,
I w szlachetne uderzenia
Wybić wszystkie serca bicia,
I żyć pełnią swego życia,
Mieć za sobą lat nie wiele,
Mieć przed sobą szczęścia wieki,
W sobie duszę, która śmiele
Dąży w przyszłość, w kraj daleki,
W kraj z pięknością i swobodą;
Snem miłości, czucia, wiary,
Kochać, wierzyć, czuć bez miary,
Być kochaną — umrzeć młodą —
Ludzie, ludzie, czyż nie wiecie,
Że to szczęściem jest na świecie!

Narcyza Żmichowska.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

— Nareszcie! zawołał Dudouis, zacierając ręce. Zdaje mi się, że sprawa stanęła na dobrej drodze. Teraz pchnięcie palcem wystarczy, aby się ucieczka udała... o tyle przynajmniej, że schwytamy wspólników.

— A jeżeli Arseniusz Lupin wymknie się nam z rąk?

— Weźmiemy wielu ludzi. Gdyby jednak nawet wykazał zbyt dużo zręczności, dalibóg, tem gorzej dla niego! Jeżeli herszt odmawia zeznań, może ktoś z bandy przemówi.

* * *

Istotnie Arseniusz Lupin mówił nie dużo. Wszelkie wysiłki Juliusza Bouvier, sędziego śledczego były daremne. Miesiące mijały. Indagacye kończyły się zawsze banalną rozmową pomiędzy sędzią a obrońcą Danval'em. Była to jedyna z największych powag adwokatury paryskiej, lecz o obwinionym wiedział tyle tylko, co czytająca dzienniki publiczność.

Od czasu do czasu Arseniusz Lupin rzucał przez grzeczność słów parę:

— Ależ tak, panie sędzio, masz pan słuszność: okradzenie banku Crèdit Lyonais, kradzież na ulicy Babylone, emisya fałszywych banknotów, sprawa o polisy asekuracyjne, ograbienie zamków Armesnil, Gouret, Imblevain, das Groseillers, Malaquis, przyznaję się do wszystkiego.

— W takim razie możebyś pan wytłomaczył

— To zupełnie zbyteczne. Przyznaję się do wszystkiego i do wielu, wielu innych rzeczy, o które mnie nikt nie posądza.

Znudzony walką daremną sędzia zaprzestał indagacyi bezcelowych. Zatrzymał tylko oba przejęte bileciki. Codziennie, około południa, wożono Arseniusza wraz z kilku innemi więźniami do Depôt. Wracali około godziny trzeciej lub czwartej.

Pewnego razu powrotowi temu towarzyszyły okoliczności wyjątkowe. Ponieważ spóźniono się z przesłuchaniem innych więźniów, postanowiono odesłać najpierw samego tylko Arseniusza Lupin.

Karetki więzienne, zwane w żargonie brukowym „sałaciarkami“, przedzielone są wzdłuż kurytarzykiem. W każdej połowie znajduje się po pięć klitek. Klitki są tak małe, że można w nich tylko siedzieć; więźniowie przegrodzeni są cienkiemi ściankami. Kurytarzyka pilnuje strażnik municypalny.

Arseniusza wprowadzono do karetki samego i umieszczono w trzeciej celi. Ciężki wehikuł ruszył z miejsca.

Więzień zdawał sobie sprawę, że minęli Quai d'Horloge, a potem Pałac Sprawiedliwości. Na środku mostu Saint-Michel, prawą nogą przycisnął płytę z blachy żelaznej, zamykającą klitkę — jak to czynił zawsze. W tej chwili jednak coś odskoczyło. Blacha żelazna osunęła się nieznacznie. Więzień stwierdził, że się znajduje w środku wehikułu między dwoma kołami.

Wytężył wzrok. Czekał. Karetka toczyła się wolno po bulwarze Saint-Michel. Nagle zatrzymała się na rogu ulicy Saint-Germain. Koń zaprzężony do furgonu potknął się i upadł. Ruch został wstrzymany. W mgnieniu oka skupiła się moc dorożek i tramwajów.

Arseniusz wychylił głowę. Tuż za karetką, w której siedział, stała druga taka sama karetka. Podniósł blachę wyżej, nogę postawił na szprychę koła i zeskoczył.

Spostrzegł go jakiś woźnica i wybuchnął śmiechem, potem zawołał. Lecz głos się zgubił wśród turkotu wehikułów, które ruszyły znowu. Zresztą Arseniusz Lupin był już daleko.

Kilka kroków przebiegł pędem. Potem wpadł na lewy chodnik, odwrócił się, rozejrzał w około, jak człowiek, który nie wie, dokąd udać się. Zdecydował się szybko. Włożył ręce w kieszenie, i krokiem niedbałym podążył w górę bulwaru.

Było to wczesną jesienią. Czas ładny, ciepły. Kawiarnie przepełnione. Wstąpił do jednej z nich i usiadł na tarasie.

Kazał sobie podać kufel piwa i paczkę papierosów. Pił powoli i najspokojniej w świecie zapalał papierosa jednego po drugim. Wreszcie wstał i kazał chłopakowi sprowadzić zarządzającego.

Zarządzający przyszedł. Arseniusz zwrócił się do niego tak głośno, aby go wszyscy słyszeli:

— Przykro mi bardzo, lecz zapomniałem portmonetki. Może pan zechce udzielić mi kredytu na dni kilka. Nazwisko moje dosyć znane: Arseniusz Lupin.

Zarządzający obejrzał go uważnie, przypuszczając, że gość żartuje.

Lecz Arseniusz powtórzył:

— Lupin, więzień z la Santé, w drodze do swobody. Ośmielam się przypuszczać, że nazwisko moje będzie gwarancyą dostateczną.

Oddalił się wśród ogólnego śmiechu. Zarządzający nie upomniał się o zapłatę.

Arseniusz minął ulicę Soufflot i skręcił na ulicę Saint-Jacqnes. Szedł powoli, zatrzymując się przy wystawach i paląc papierosy. Na bulwarze Port-Royal zatrzymał się, zapytał o drogę i skierował prosto na ulicę de la Santé. Wkrótce ujrzał wysokie posępne mury więzienia. Szedł czas jakiś obok ciemnego gmachu, wreszcie zbliżył się do strażnika municypalnego, który stał na warcie, i uchylając kapelusza zapytał:

— Czy to jest więzienie La Santé!

— Tak jest.

— Pragnąłbym wrócić do swej celi. Kareta odjechała bezemnie... A nie chciałbym nadużywać...

Strażnik odburknął:

— Ruszaj ztąd... idź swoją drogą.. prędzej..

— Przepraszam pana... bardzo przepraszam... lecz moja droga prowadzi właśnie przez tę bramę. Jeżeli odmówisz pan wstępu Arseniuszowi Lupin, może to ściągnąć na pana poważne przykrości.

— Arseniusz Lupin! ho, ho! Co mi pan bajesz!

— Żałuję mocno, że zapomniałem biletu wizytowego — rzekł Arseniusz, udając, że szuka w kieszeniach.

Strażnik, zbity z tropu, zmierzył go od stóp do głowy. Potem, nie mówiąc słowa, jakby machinalnie, pociągnął za dzwonek.

Uchyliły się żelazne podwoje.

W kilka minut później wpadł do kancelaryi dyrektor, giestykulując żywo i udając silny gniew. Arseniusz się uśmiechnął:

— Panie dyrektorze, nie probuj być sprytniejszym odemnie. Jakto? Przez ostrożność wsadzają mnie do osobnej karetki, po drodze urządzają straszny tłok... a potem wyobrażają sobie, że wezmę nogi za pas i połączę się z przyjaciołmi. A cóżby się stało z agentami, eskortującemi nas pieszo, w dorożkach, na bicyklach. Dopieroby mię urządzili! Nie wyszedłbym żyw z tej matni. Może na to właśnie rachowano?

— Proszę pana, panie dyrektorze, nie troszczcie się o mnie. Gdy zechcę uciec, obejdę się bez waszej pomocy.

Nazajutrz „Echo de France — możnaby powiedzieć, że dziennik ten stawał się organem urzędowym Arseniusza Lupin — podało wszystkie najdrobniejsze szczegóły chybionej ucieczki. Przytoczono nawet treść bilecików, zamienionych między Arseniuszem, a jego tajemniczą przyjaciółką, sposoby ułatwiające im korespondencyę, współudział policyi, przechadzkę po bulwarze Saint-Michel, wypadek w kawiarni Soufflot — odsłonięto wszystko. Wiedziano, że poszukiwania inspektora Dieuzy w kawiarni okazały się zupełnie bezowocne. Publiczność zdobyła nowy szczegół, świadczący o nieskończonej rozmaitości środków, jakiemi ten niezwykły człowiek rozporządzał. Okazało się, iż karetka, w której go przewożono, była już wycofaną z obiegu.

Banda Arseniusza podstawiła ją zręcznie zamiast jednej z sześciu karetek, któremi urząd więzienny rozporządzał.

Bliska ucieczka Arseniusza Lupin nie przedstawiała dla nikogo wątpliwości najmniejszej. On sam zapowiadał ją kategorycznie. Świadczy o tem odpowiedź, dana sędziemu Bouvier, nazajutrz po wypadku.

Gdy sędzia zadrwił z jego niepowodzenia, Arseniusz, mierząc go spojrzeniem, rzekł chłodno:

— Wierzaj mi, panie Bouvier i zapamiętaj moje słowa: ta nieudana ucieczka leżała w moich planach.

— Nie rozumiem nic — szydził sędzia.

— O, to zupełnie zbyteczne.

Sędzia na nowo rozpoczął indagacyę — nazajutrz w szpaltach „Echo de France“ ukazała się ona w całości — Arseniusz zawołał tonem znudzonym:

— Mój Boże, mój Boże! poco to wszystko... pytania te są całkiem zbyteczne.

— Jakto?

— Ależ tak! Nie będę przecież obecnym na swoim procesie!

— Nie będziesz pan...

— Nie. Jestto postanowienie nieodwołalne. Nic go nie zmieni.

Tak niezwykła pewność siebie, oraz ogłaszanie najskrytszych szczegółów drażniły i zbijały z tropu policyę.

O tajemnicach, drukowanych w „Echo de France“, jeden tylko Arseniusz Lupin mógł wiedzieć, on więc je chyba odsłaniał. Lecz w jaki sposób to czynił? Po co?

Pewnego wieczora przeprowadzono go do innej celi, o piętro niżej. Równocześnie sędzia zamknął badanie i przesłał sprawę do izby oskarżeń.

Wszystko ucichło. Upłynęły dwa miesiące. Arseniusz cały ten czas spędził w łóżku. Leżał zawsze z twarzą zwróconą ku ścianie. Zdawało się, że przeniesienie do innej celi zgnębiło go zupełnie. Nawet nie chciał się widzieć ze swym adwokatem. Tylko ze stróżami raczył po kilka słów zamieniać.

Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem procesu ożywił się trochę.

Skarżył się na brak powietrza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA NR 20

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Nawet my, cośmy też w wojsku nowozaciążnem, ochotniczem służyli — ja, com lat kilka podobnemu oddziałowi dowodził — nawykłem do większego porządku, ładu, jednostajności... bodaj nawet ubioru, która wdraża do karności i równości obozowej. To co widzę, wygląda mi na pospolite ruszenie, na partyzantów, nie na wojsko i pułki szykowane. Ale — rozumiem i to.. że mi się nie godzi sądzić o kraju tak nowym, miarą innych go mierząc.. Każdy naród ma swe obyczaje, własności, co dopiero tu.. na drugim świecie!

Tu tysiąc zapewne nieznanych mi okoliczności składały się na nadanie wojsku tak niekorzystnego pozoru. Wyglądają żołnierze wasi na żebraków, ale dla tego bić się mogą, jak bohaterowie.

— Zgadliście dobrze — uśmiechając się odpowiedział Amerykanin — często biją się bardzo dobrze, ale przyznaję, że nie zawadziłyby nam ład, surowość większa i porządek.

Nie zapominajcie, że to jest ochotnik, wojsko co trzy miesiące rekrutowane na nowo — proszone — że to są coraz świeże zaciągi, które każda klęska i niepowodzenie rozprasza... my się musimy uczyć i bić i zwyciężać. Niechce Rzeczpospolita mieć żołnierza regularnego, coby się stał żołdakiem, przestając być obywatelem i zagrażał swobodzie.

— Tak właśnie było u nas — rzekł Pułaski — ta obawa nas zgubiła. Nie umieliśmy pogodzić interesów swobody z potrzebami obrony stałej i silnej. W kraju do rdzeni republikańskim, gdzie niema się co obawiać ambicyi wodza, nie ma się też co lękać żołnierza. Wojsko regularne, wyćwiczone jest potrzebne...

— I ja tak sądzę — odpowiedział Amerykanin — ale to są primicye swobody — myśmy do niej doszli, a jeszcze jej nie zdobyli... wszystko nas przeraża. Myślę, że wodzowie pragnęliby inaczej urządzić armią, ale kongres się może obawia, aby z Fabiusa nie wyrósł mu jaki Cezar, jaki Cromwel.

— Z tego, co o przyjacielu Franklina, z niego wnosić mogłem — odpowiedział Pułaski — nie sądzę, by kto mógł Washingtona o samolubne posądzić widoki, jest to mąż prawy.

— Bądź co bądź — przerwał nagle nieznajomy — kongres ma słuszność, on powinien się lękać nawet, gdy nie ma się czego obawiać — to jego powinność. Stoi na straży, a choćby nieprzyjaciela nie było, warta z placu zejść nie może.

W tem miejscu przerwaną została rozmowa niespodziewanem ukazaniem się Lafayett'a, który od obozu jechał, szukając właśnie Pułaskiego, a zoczywszy go, szybko się przybliżył.

Nie spostrzegł on zaraz jego towarzysza zakrytego gałęźmi i krzakami, ale w chwili, gdy nadjeżdżał i zsiadłszy podawał rękę Pułaskiemu, wychyliła się ku niemu poważna postać nieznajomego.

Na ustach Lafayett'a ukazał się uśmiech wesoły, powitał naprzód Amerykanina, potem tego, za którym gonił.

— Widzę — rzekł — żeście mi oszczędzili formalności zapoznawania, której właśnie miałem dopełnić.

— Któż to taki? — zapytał cicho Pułaski.

— Jakto? czyżbyście nie wiedzieli?

— Nic nie wiem, spotkanie było przypadkowe.

— To wódz! to Washington! — zawołał Lafayette.

W tej chwili Amerykanin z pełną uprzejmości prostotą i wyrazem przyjacielskim dłoń Polakowi podał.

— Proszę mi darować, panie generale — odezwał się Pułaski — moją żołnierską gburowatość, rubaszność i może zbytnią otwartość; prawdziwie niewiedziałem, kogo miałem szczęście spotkać.

Wódz potrząsnął ręką.

— Ale tak jest lepiej — rzekł — znajomość nigdy się korzystniej dla mnie zrobić nie mogła. Poznałem was takim, jakim jesteście dla wszystkich, a możebyście innym nieco byli dla owego Washingtona, który jest niczem więcej, jak chwilowo odpowiedzialnym, za wszystko złe, jakie kraj spotyka. Cenię was już wielce z pierwszej naszej rozmowy i cofam, com o Amerykanach powiedział. Takich ludzi, jak wy, potrzebujemy, pragniemy... niewiem waszego nazwiska..

— Panie generale — przerwał Lafayette — właśnie wam miałem hrabiego Pułaskiego przedstawić. Pisze za nim do was gorąco Franklin, dodam od siebie, że w Europie imie jego słynne jest jako bohatera w ostatniej wojnie z Moskwą.

— Gdybyż z Moskwą tylko! — westchnął pan Kazimierz, ale z Moskwą i zdrajcami.

To mówiąc spuścił głowę na piersi.

— Wierzcie mi — rzekł Washington — będziemy się starali, aby dla was Ameryka nie była niegościnną ziemią... dla braci Polaków zrobimy chętny wyjątek. Jutro napiszę do kongresu, i mianuję was...

— Piechotą czy konnicą dowodzić chcecie? — dodał.

— Dowodzić! — rzekł Pułaski — ale ja chcę mieć tylko bić się prawo, nie dowodzić.

— Z rozmowy waszej widzę, żeście starym, wytrawnym dowódzcą, musimy z waszego doświadczenia korzystać. Więc piechota czy konnica?

— Ha! — odparł uśmiechając się pan Kazimierz — to pytanie, które Polakowi tylko w Ameryce zadanem być może. My nie znaliśmy piechoty prócz najemnej, zrośliśmy na koniach, jesteśmy od kolebki jeźdźcami... Bóg nas stworzył z nogą w strzemieniu.

— Właśnie my jazdy mamy najmniej — rzekł Washington — wy ją nam stworzycie.

— No! — zakończył weselej — bądźmy dobrymi przyjaciołmi, niech was nie zraża, com mówił o niechęci dla cudzoziemców. Bywają różni. W wojnie takiej jak nasza szkodliwi są ludzie, na których cięży skaza najmniejsza. Żołnierz swobody winien być czystym, rzekłbym, świętym! Cóż dopiero dowódzca!

Tak mówiąc, wstał wódz, i powoli rozmawiając, poszli ku obozowi, a szałasowi mało co nad inne pokaźniejszemu Washingtona.

W taki sposób, po owem szczęśliwem spotkaniu, los Pułaskiego i jego towarzyszów został rozstrzygnięty i łatwiej i prędzej niż on sam i Lafayette mógł się spodziewać, listy Franklina wiele też do tego pomogły.

Ten początek na pozór pomyślny, gdyż reszta przybyszów z pięknej Ludwiki została odprawioną z niczem, a Girod ledwie wielkiemi narzekaniami wyrobił sobie mały datek na podróż — nie łudził wcale Pułaskiego, który z powierzchownego przypatrzenia się ludziom, już mógł przeczuwać co go tu czekało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Brawo! brawo! — zawołał Maurycy bijąc w dłonie. I wziąwszy kapelusz na głowę, zbiegł po schodach jak szalony, dostał się na wybrzeże i ruszył w kierunku znanej nam ulicy św. Jakuba.

— Agezilausie, on mi podobno poklaskuje? — spytał Lorin. I z kolei zszedł po schodach, lecz daleko spokojniej. Artemiza nie była Genowefą.

Zaledwie Lorin wraz z swym pomarańczowym kwiatem, znalazł się na ulicy św. Honoryusza; tłumy młodych obywateli, którym stosownie do usposobienia umysłu, miał zwyczaj rozdawać drobną monetę lub kułaki, zaczęła zdążać za nim z uszanowaniem, biorąc go zapewne za jednego z owych cnotliwych, którym święty Justyn proponował dać białe suknie i bukiety pomarańczowego kwiatu.

Że zaś orszak coraz się powiększał, bo w owej nawet epoce człowiek cnotliwy wielką był osobliwością, kilka zatem tysięcy młodych obywateli widziało doręczenie bukietu Artemizie, a hołd ten przyprawił o migrenę wszystkie inne boginie Rozumu znajdujące się pośród tłumów.

II.

Rozrzutne dziecię.

Maurycy leciał jak na skrzydłach. — Tłumy ludu napełniającego ulice, nie zwracały jego uwagi, nie chciał się bowiem wstrzymywać w swym biegu.

Wszystkie grupy głosiły, że oblężono Konwencyą, że obrażano majestat ludu, wzbraniając wejścia reprezentantom, i w rzeczy samej coś podobnego miało miejsce, gdyż usłyszano odgłos dzwonu i wystrzał działowy, te oznąki trwogi.

Lecz cóż w tej chwili obchodziło Maurycego dzwon lub działo? Cóż mu szkodziło, że deputowani wejść mogą lub nie, kiedy zakaz ten nie stosował się do niego?

Biegł więc swobodnie.

Przez ten czas wyobrażał sobie, że Genowefa czeka go w małym okienku wychodzącem na ogród, aby skoro go spostrzeże z dala mogła powitać czarownym swym uśmiechem.

Dixmer również uprzedzonym jest o tym szczęśliwym powrocie, poda więc Maurycemu swą uczciwą tłustą dłoń, tak szczerą i prawą w swych uściskach.

Kochał on teraz Dixmera, kochał nawet Moranda, czarne jego włosy i zielone okulary, z pod których zdawało mu się dotąd, że błyszczało chytre oko. Kochał wszystko stworzenie, bo był szczęśliwy; byłby chętnie wszystkich zarzucił kwiatami, byleby wszyscy podobnie jemu byli szczęśliwi.

Mimo to, zwodził się biedak w swych nadziejach, zwodził, jak wielu, co liczą według własnego serca i na serce.

Zamiast słodkiego uśmiechu, który miał spotkać Maurycego, skoro go tylko dojrzy Genowefa, ona postanowiła okazać mu samą tylko zimną grzeczność, bo sądziła, że tym sposobem wstrzyma potok grożący zalaniem jej serca.

Skryła się do swego pokoju na pierwszem piętrze i zejść miała dopiero gdy ją zawołają. Niestety! i ona się zwodziła.

Sam tylko Dixmer bynajmniej się nie zwodził: patrzał na Maurycego przez kratę i uśmiechnął się ironicznie.

Obywatel Morand z zimną krwią farbował na czarno małe ogonki, które przylepione do białych kocich skórek, utworzyć miało gronostajowe futro.

Maurycy otworzył małe drzwiczki od alei chcąc wejść poufale; dzwonek nad niemi zawieszony, brzęknął jak dawniej sposobem wy-

łącznym, który zawsze zapowiadał przybycie młodzieńca.

Genowefa stojąca przy zamkniętem oknie, zadrżała. Spuściła podniesioną firankę.

Maurycy zatem wchodząc do swego gospodarza, doznał naprzód zawodu; nietylko Genowefa nie oczekiwała go przy dolnem oknie, ale nie zastał jej nawet w salonie, w którym ją kiedyś pożegnał; musiał więc kazać oświadczyć swe przybycie, jakby po trzech tygodniowej niebytności obcym był dla tego domu. Serce mu się ścisnęło.

Najpierwej ujrzał Dixmera, który wbiegając z okrzykiem radości porwał go w objęcia swoje.

Wtedy zeszła Genowefa, biedna natarła policzki nożem z perłowej macicy, aby przywołać na nie nieco krwi, ale zaledwie uszła kilka kroków, już te zmuszone kolory znikły i wlały się w jej serce.

Maurycy skoro tylko spostrzegł Genowefę, z uśmiechem na ustach postąpił ku niej i gdy chciał ucałować jej rękę, wówczas dopiero spostrzegł ile była zmieniona.

Ona również z przerażeniem dostrzegła bladość Maurycego, a zarazem gorączkowy blask jego spojrzenia.

— Jesteś więc, panie? — rzekła, nie mogąc pokryć wzruszenia.

Postanowiła, że powie mu obojętnie: Dzień dobry obywatelu Maurycy, dla czegoż stałeś się tak rzadkim?

Tak odmienne powitanie zdało się Maurycemu także zimnem, a jednak jakiż mieścił się w niem odcień!

Dixmer krótko przerwał wzajemne wypytywania i wymówki. — Kazał podać obiad; bo już było blisko drugiej.

Przybywszy do jadalnej sali, Maurycy spostrzegł, że i dla niego nakryto.

Wówczas przybył także obywatel Morand odziany w ten sam dzienny frak i tę samą kamizelkę.

Zawsze miał zielone okulary, długie czarne włosy i biały żabot.

Maurycy był o ile mógł najgrzeczniejszy dla całego zgromadzenia, bo widząc je przed sobą, daleko mniej go obawiał się, niż gdy był od niego oddalony.

W rzeczy samej, jakiż miał dowód, że Genowefa kocha małego chemika? Tylko bardzo rozkochany, a tem samem bardzo szalony mógł nabijać sobie głowę podobnemi niedorzecznościami.

Zresztą niestosowna to była chwila do zazdrości.

Maurycy miał w kieszeni list Genowefy, serce jego skakało z radości.

Genowefa była znowu pogodną, bo odzyskawszy szczęście, znowu umiała panować nad sobą, to jest była spokojną i zimną, jakkolwiek uprzejmą; odcienia tego Maurycy także nie poznał. Lorin byłby zapewne znalazł jego wyjaśnienie, w którym z swych ulubionych autorów.

Rozmawiano o bogini Rozumu; upadek żyrondystów i nowe wyznanie, na mocy którego dziedzictwo nieba spadać miało po kądzieli, były to dwa główne dzienne wypadki.

Dixmer utrzymywał, iż nie gniewałby się wcale widząc ten nieoceniony zaszczyt ofiarowanym Genowefie.

Maurycy chciał się śmiać z tego, lecz gdy Genowefa podzieliła zdanie męża, Maurycy spojrzał na nich zdziwiony, że patryotyzm zdołał do tego stopnia obłąkać człowieka, tyle co Dixmer rozsądnego i duszę tyle pełną poezyi jak dusza Genowefy.

Morand rozwinął teoryę politycznej kobiety, przechodząc od Theroiguy de Méricourt bohaterki 10. września, aż do pani Roland tej duszy żyrondy. Potem, niby nawiasowo, powiedział kilka słów przeciw pończoszniczkom.

Słowa te rozśmieszyły Maurycego, a były przecież okrutnem szyderstwem z owych żeńskich patryotów, którym później nadano haniebną nazwę: lizaczek gilotyny.

— Ah! obywatelu Morand — rzekł Dixmer — szanujmy patryotyzm wówczas nawet, gdy błądzi.

— Co do mnie — przerwał Maurycy — sądzę, że kobiety są zawsze niezłemi patryotkami, skoro tylko nie zanadto sprzyjają arystokracyi, bo kobiety, które były nieprzyjaciółkami narodu, niestety! dziś zbyt są srogo za to ukarane.

— Czy rozumiesz tu, obywatelu, uwięzione w Temple, czy mówisz o Austryaczce, o siostrze i córce Kapeta? — zawołał Dixmer tak prędko, że słowom jego brakowało wszelkiego wyrazu.

Morand pobladł, oczekując na odpowiedź młodego urzędnika, i gdyby kto był to widział, mógłby był poświadczyć, że paznokcie jego zrobią mu bruzdę w piersiach, tak się głęboko w nie zaryły.

— W rzeczy samej, tak jest, o nich to ja mówię.

— Jak to! — stłumionym głosem rzekł Morand — miałożby prawdą być, co mówią, obywatelu Maurycy?

— A cóż mówią? — spytał młodzieniec.

— Że z uwięzionemi zbyt się niekiedy okrutnie obchodzą ci nawet, którzyby powinni wziąść je pod swą opiekę.

— Są ludzie — powiedział Maurycy — niegodni nazwiska ludzi. Są podli, którzy nigdy nie walczyli, ale którzy potrzebują dręczyć zwyciężonych, aby mogli wmówić w siebie, że są zwycięzcami.

— O! obywatelu Maurycy, ty nie należysz do rzędu takich ludzi, jestem tego pewna — zawołała Genowefa.

— Pani — odpowiedział Maurycy — ja, który to mówię, stałem na straży przy rusztowaniu, na którem zginął zmarły król. Miałem pałasz w ręku, aby nim rozsiekać każdego, ktoby się pokusił o ocalenie jego osoby. Jednak, gdy przechodził koło mnie, mimowoli zdjąłem kapelusz i obracając się do moich żołnierzy zawołałem: Obywatele, uprzedzam, że położę trupem tego, kto się poważy znieważać byłego monarchę. O! kłamcą nazwę każdego, ktokolwiek ośmieli się utrzymywać, że choć jeden okrzyk dał się słyszeć w mojej kompanii. Ja to także własną moją ręką napisałem najpierwszy, dziesięć tysięcy ogłoszeń poprzybijanych w Paryżu, gdy król wracał z Varennes, a które brzmiały: „ktokolwiek pozdrowi króla, zostanie obity, ktokolwiek go znieważy, będzie powieszony“. Tak więc — mówił dalej, nie zważając, jak straszne wrażenie słowa jego wywarły na obecnych — dowiodłem, że jestem prawym i prawdziwym patryotą, i oświadczam teraz, że mimo opinii mojej jedynie z głębokiego przekonania pochodzącej, mimo posiadane pewności, że Austryaczka jest po większej części przyczyną nieszczęść trapiących Francyę, nigdy, przenigdy nikt, a chociażby nawet sam Santerre, w obecności mojej nie znieważy eks-królowej.

— Obywatelu — przerwał Dixmer, wstrząsając głową, jak człowiek, który przygania podobnej śmiałości — wiesz co, musisz być nas bardzo pewnym, jeżeli w naszej obecności głosisz podobne rzeczy?

— To, co mówię przed wami, śmiało powtórzę wobec wszystkich Owszem dodam, że Marya Antonina zginie może na rusztowaniu męża swego, ale mimo to nie należę ja do rzędu ludzi, którzy lękają się kobiety, i szanować zawsze będę wszystko, co jest słabszem odemnie.

— A królowa — lękliwie zapytała Genowefa — dałaż ci kiedy poznać panie Maurycy, że czuje tę delikatność tak dla niej teraz rzadką?

— Uwięziona kilkakroć dziękowała mi, pani, za względy, jakie dla niej miałem.

— Z rozkoszą więc zapewne oczekuje nadejścia kolei twej służby obywatelu?

— Tak sądzę — odpowiedział Maurycy.

— W takim razie — wtrącił Morand, drżąc jak kobieta; — ponieważ wyznajesz pan to, czego nikt teraz wyznać nie śmie, bo objawiasz całą wspaniałomyślność serca swego, nie prześladujesz zatem i dzieci.

— Ja — powiedział Maurycy — spytajcie niegodziwego Simona, jak ciąży ramię urzędnika, wobec którego ten nędznik śmiał bić małego Kapeta?

Odpowiedź ta wywołała nagłe poruszenie wokoło stołu Dixmera; wszyscy biesiadnicy powstali z uszanowaniem.

Maurycy sam tylko siedział i nie domyślał się nawet, że wzbudził taką oznakę uwielbienia.

— I cóż! co to ma znaczyć? — spytał zdziwiony.

— Sądziłem, że wołano mię do warsztatu — odrzekł Dixmer.

— Nie, nie — powiedziała Genowefa. — I ja z razu tak mniemałam, aleśmy się omylili.

I znowu każdy zajął swoje miejsce.

— Ach! to więc ty, obywatelu Maurycy — drżącym głosem rzekł Morand — jesteś owym urzędnikiem, o którym powiadano, że tak szlachetnie bronił dziecięcia?

— Powiadano o tem? — rzekł Maurycy z przecudną prawie naiwnością.

— Otóż to mi szlachetny człowiek — mówił Morand, wstając od stołu i z obawy zbytniego uniesienia oddalając się do warsztatu, gdzie wzywała go niby zbyt pilna praca.

— Tak jest obywatelu — odrzekł Dixmer — tak mówiono o tem, i wyznać winienem, że wszyscy ludzie z sercem i odwagą chwalili cię chociaż nie znali.

— I niech pozostanie nieznany — wtrąciła Genowefa — sława, jakąbyśmy mu nadali, zbyt byłaby niebezpieczną.

I tak w tej szczególnej rozmowie, każdy mimowolnie umieścił swe słówko o bohaterstwie, poświęceniu i współczuciu. Był tam nawet okrzyk miłości.

Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Zdawało się nawet, że zmartwienie, jakiego doznał, ustąpiło na chwilę uczuciu wcale odmiennemu pewnego pogłaskanej dumy. Spieszył się tem podzielić z żoną i córką... Szczęściem nie było nikogo i radzca mógł opisać swe spotkanie, wypadek pamiętny i zaszczytny dla niego.

— To człowiek, — począł z uniesieniem — to człowiek! Trzeba było widzieć, z jakiem humannem uczuciem mnie przyjął... jak się wyrażał serdecznie... Pełny generał! Czerwony orzeł pierwszej klasy z mieczami! To nie żart... Wszystko wiedział... nie pojęta rzecz... wszystko — więcej niż ja.. I jest tego zdania, aby pogardzić człowiekiem nikczemnym. — Uściskał mnie, ucałował i rzekł w końcu:

„Radzco komercyjny von Riebe — pociesz się, masz dwóch wnuków baronów, wychowaj ich na uczciwych Niemców a o niewdzięczniku zapomnij.“

Co za człowiek!

Kobiety milczały. Radzca był wymowny i zupełnie pocieszony. Wahał się, czy wyznać przed kobietami, że wie o schronieniu zięcia, a w końcu nie mogąc wytrzymać wygadał się i z tem. — Helma zrazu myślała pojechać i odebrać dziecko, lecz na to zabrakło jej odwagi...

Tak dzień ten cały przeszedł. Dr. Arnheim, który zwykł był zjawiać się zawsze wieczorem, nie pokazał się wcale... Helma sama chodziła po salonie z Schopenhauerem w ręku, ale go rzucała co chwila.

Nazajutrz z rana przyjścia poczty oczekiwano znowu z niecierpliwością — lecz i ta nic nie przyniosła. Z południa radzca powiedział sobie, że zięć musi kroić na spekulacyą, gdy się tak długo namyśla i nie zgłasza.

Wieczorem nadszedł pastor, który od swego partnera szachowego dowiedział się o wypadku. Człowiek to był wielce odmienny od rodziny i nieskończenie od niej wyższy wykształceniem i charakterem. Ubogi, nie dobijał się niczego więcej nad to, co miał, nie dysputował nigdy z takimi, co go zrozumieć nie mogli, nie nawracał nikogo. Natura była flegmatyczna i uspokojona.

Wchodząc do radzcostwa, w milczeniu ale z uczuciem ścisnął rękę gospodyni i jednem wejrzeniem dał jej uczuć, że wiedział o wszystkiem. Radzca już chciał impetycznie opowiadać, gdy pastor mu przerwał spokojnie:

— Wiem już.

Wszczęło się tedy badanie, zkąd i jak. Nie było w tem tajemnicy. Cylius mu opowiedział to a obok niego mieszkał Wolski, na krok nie odstępujący Lischen, której kupił zabawek, ażeby mogła zapomnieć trochę o domu i nie dopominać się co chwila powrotu do niego.

Babka słuchając płakała. Helma się zżymała i gniewała — radzca dumał.

— Kochany bracie — rzekł po chwili namysłu — moglibyście nam oddać przysługę... Należałoby jutro pójść do dr. Cyliusa i wybadać, co ten wyrodek sobie myśli, co on nam gotuje.

— Jakto? zapytał pastor — ale ja i dziś wiem, co myśli i gotuje. — Wynosi się w Poznańskie jako lekarz i będzie praktykował a do Lischen szuka bony i naturalnie zabiera ją z sobą.

— Jakto i myśli się obyć bez nas? śmiejąc się dodał Riebe — ale to nie może być!

Począł chodzić po pokoju. — Przecież to jest zasadzka! — mruczał.

Wszyscy oni pojąć nie mogli, ażeby kto, mając tak szczęśliwe gniazdo bezpłatne, mógł je dla jakiejś fantazyi opuścić.

Pastor smutnie zaręczył im, że Wolski ani przypuszczał żadnej zgody i ani myślał o powrocie do nich.

To dało do myślenia radzcy.

— Jakto? i w trzydziestym roku życia Helma ma zostać bez męża, bez przyszłości, z dwojgiem dzieci, ani wdową, ani rozwódką! — zawołał z oburzeniem. Na to ja nie pozwolę.

Nie dano mu mówić, i mruczeniem dokończył. — W głębi duszy nie bardzo wierzył, ażeby się to tak skończyć miało. Z rachubą niemiecką inne zachował sobie rzeczy pojęcie.

Wolski nimby sobie znalazł przytułek na własnej ziemi, musiał w Berlinie pozostać. Złożyło się tak szczęśliwie, iż w tej samej kamienicy,

w której Cylius od tak dawna mieszkał, była para meblowanych pokojów od tyłu, z oknami na ogrody, które Wolski mógł nająć i do nich się wprowadzić. — Wojtuś napisał do Poznania, aby mu niańkę przysłano, bo oba Niemki nie chcieli. Dziecina bardzo w początkach stęskniona za braćmi, za babką, za domem, powoli z żywością umysłu dzieciom właściwą oswoiła się z nowym bytem, — a tu ją pieszczono, jak nigdy nawet u babki nie było. Wolski nie mając nic do czynienia stał się niańką najtroskliwszą, i jeśli jej nie nosił na rękach, to przy niej siedział na ziemi wśród porozrzucanych zabawek.

Wojtuś który jak wszyscy ludzie dobrego serca dzieci lubił, godzinami tu przesiadywał, bawiąc się małą i zabawiając ją. A co najważniejsza, stary Cylius przywiązał się do tej sąsiadki ze szczególną namiętnością.

Dla staruszka było to studyum rozwijających władz umysłowych.

Tak we trzech zasiadłszy do koła prowadzili na przemiany z nią rozmowę, śmiali się i niezmiernie byli szczęśliwi.

Garbus chciał ją zaraz zacząć uczyć po polsku, ale to mu szło tępo. Wolski nie wychodził ani na chwilę, obawiał się, znając rodzinę żony, aby nie użyli jakiego gwałtownego środka do wydarcia mu dziecka i uczynienia przykrości. Z resztą nie wiedział wcale i nie dowiadywał się, co tam zamierzano i myślano, jakie było usposobienie Helmy i jej rodziców; co do siebie miał najmocniejsze postanowienie niepowracania pod jarzmo pana radzcy.

Przywiązanie do Helmy nie wygasło w nim, często bardzo odzywała się tęsknica za tą, z którą spędził tyle lat w różnem szczęściu i podzielał złe i dobre losy. — Truło mu tylko te wspomnienia podejrzenie o stosunku jej z dr. Arnheim, którego sobie inaczej jak występnym tłumaczyć nie umiał. Patrzał nań, z razu jako na literacką spółkę, na sympatyą czysto duchową — teraz jakoś mu się to inaczej przedstawiało. Nie widział jasno — ale był zazdrosny.

Opędzał się tym wspomnieniom, jak mógł, a starał się żyć w dziecku i dla dziecka. Cylius przyniósł mu książek, aby sobie w pamięci trochę zaniedbaną medycynę odświeżył, a Wolski z żywem zajęciem jął się pracy, czując w niej najskuteczniejsze lekarstwo na cierpienia serca. Najpiękniejsze plany przyszłości roili z Wojtusiem, który niezmiernie był rad, że przyjaciela ocalił. Był pewny bowiem, że wlewając weń trochę odwagi przyczynił się do tego stanowczego kroku.

Postanowiono więc, że Wolski osiądzie w Lesznie lub w Gnieźnie lub w któremkolwiek choćby z mniejszych miasteczek księstwa, że sobie zyszcze klientelę w sąsiedztwie, że później nabędzie domek z ogródkiem... że Lischen wychowa się pod jego okiem na pociechę ich wszystkich.

Cylius liczył się do nich.

Stary przynosił codzień w kieszeniach łakocie i fraszki a najwięcej książek z obrazkami. Sam potem ochoczo na podłodze siadał na rozesłanym kobiercu i tłómaczył je dziecku. Nieraz o swych ulubionych szachach zapomniał dla Liski. Nic nie było zabawniejszego nad widok siwowłosego wyelegantowanego człowieka, zastępującego niańkę i promieniejącego weselem. Mówił ciągle, że gdyby Lischen była do kupienia, dałby za nią połowę majątku, aby patrzeć potem na stopniowe rozwijanie się tego kwiatuszku.

Od Riebów nie było żadnej wiadomości, z Poznańskiego także, nikomu jednak nie było tęskno oprócz Wolskiego, który chciał już rozpocząć życie pracy, męcząc się tem, że był dla Wojtusia ciężarem. Ile razy mu to powtarzał, garbus się śmiał. — Widzisz, że ja dla siebie nie wiele potrzebuję i mam aż nadto... nie łamże sobie głowy dzieciń　stwem.

Dziwny jest czasem w życiu ludzkiem zbieg okoliczności, trafu czy Opatrzności, któremu tak się zdumiewać można jak owej kuli Dąbrowskiego, co się zatrzymała na książce, którą pod mundur włożył przed bitwą. Jedno ocala lub gubi i to jedno przychodzi w danej godzinie jakby niewidzialną popchnięty dłonią pionek na szachownicy. Tydzień już upływał takiego życia a Wolski miał już do pomocy niańkę przybyłą z Poznania, nie młodą kobietę, która się do dziecka przywiązała serdecznie, bo całe życie nawykła była nosić podobne jemu istoty na ręku a teraz przez kilka miesięcy nie miała zajęcia. Śpiewem więc rozlegał się pokoik i Wolski nauczywszy piastunkę ostrożności mógł wyjść przynajmniej chwilę świeżem odetchnąć powietrzem. Cylius przychodził regularnie i zniósł swoją szachownicę do niego. Jeśli nie było posiedzenia lub komisyi, do którejby garbus należał, przychodził i on wieczorami do Wolskiego.

Przy szachach wszczynały się rozmowy o nauce i wywiązywały z nich długie rozprawy.

Stary profesor, różny w tem od wielu uczonych, co się na pewnem stanowisku zatrzymawszy dalej już iść nie chcą czy nie mogą, czytał wiele, śledził nauki postępy z żywem zajęciem i rozumiał to dobrze, iż w tym pochodzie do prawdy na chwilę spocząć nie można, a kto stanie

lub siądzie, tego wielki orszak porzuca za sobą. Codzień jakaś nowa rozprawa, badanie, odkrycie poruszały go, entuzyazmowały lub burzyły.

Była to niedziela. Liska z nianką bawiły się w drugim pokoju, Cylius z Wolskim grali w szachy, a stary profesor z żywością opowiadał coś o najnowszych poszukiwaniach histologicznych, gdy z wielkim zamachem wpadł garbus do pokoju. Nigdy on inaczej nie wchodził jak ze stukiem i hałasem.

Poznali go grający obaj. Wystrojony był swym zwyczajem i wesół czegoś jakby po dobrym obiedzie.

Wolski podniósł głowę i spytał go:

— Zkądże taki wesół powracasz?

— Nigdy nie zgadniesz, ani zkąd ani dla czegom taki wesół. Rzecz się ciebie tyczy, muszę ci opowiedzieć. Mam dla ciebie zatrudnienie, które ci się doskonale opłaci.

— Odebrałeś wiadomość z Księstwa?

— Nie, żupelnie co innego, wprawdzie tymczasowego, lecz doskonałego.

Dla Cyliusa mówiono po niemiecku, zwrócili się wszyscy ku garbusowi, który rękawiczki ściągał usmiechając się.

— Osobliwszy trafunek — rzekł siadając — jestem fatalista ale w szczęśliwe fata nie wierzę, a tu słowo daję — w opiekuńczego anioła twego należałoby dać wiarę! Wczorajszego dnia — mówił garbus — hrabia Ł — —, z którym razem jadamy w table d'hôte w hotelu rzymskim, zapytuje mnie, czybym nie znał lekarza, któryby mógł przyjąć miejsce ordynaryusza przy bardzo chorym ziomku, przybyłym z cesarstwa dla poradzenia się doktorów berlińskich. — Jest to — powiada mi — człowiek niezmiernie majętny, kawaler, dziwak — w gruncie dobry, w obejściu nieznośny, ale milioner i za kaprysy dobrze płaci... Zaraz mi ty przyszedłeś na myśl — powiadam hrabiemu — „Mam, mam żądaną osobistość w jak najlepszym gatunku i zupełnie swobodną...“ To doskonale... Hrabia jednak jako dziwak zapewne będzie sobie życzył otwarcie wprzód o tem pomówić z tobą. Pójdziemy do niego po obiedzie. Zgoda?

Wolski chciał przerwać w tem miejscu, ale garbus rękę podniósł i nakazał milczenie.

Czekaj — rzekł — nie skończyłem, grajcie w szachy i dajcie mi się wygadać, jak należy.

— Nie widzę anioła stróża... — mruknął Wolski.

— Zaraz go ci pokażę — począł Wojtuś zapalając cygaro. — Po obiedzie poszliśmy na pierwsze piętro, na którem mieszkał pan radzca stanu Nietyksza.

— Moja matka była z tej rodziny — zawołał Wolski zdziwiony.

— Proszę mi nie przerywać — zawołał Wojtuś. — Radzca zajmował salon, pokój sypialny i jeszcze tam coś więcej.

— Wprowadzono nas do salonu. Tu na kanapie spostrzegłem człowieka ogromnego wzrostu, żółtego jak wosk, leżącego z książką, w której czytał przez lupę. Włos siwy... twarz pomarszczona, ogolona cała, smutna. Szlafrok perski na nim i dokoła pełno zbytkownych sprzęcików. Na widok wchodzących podniósł się powoli. Hrabia przedstawił mu mnie i opowiedział naszą u stołu rozmowę.

Radzca słuchał milczący, przebierając palcami w książce i niekiedy ostrożnie spozierając na mnie. Czytałem w twarzy jego cierpienie wątroby i śledziony.

— Ledwiem się tu dowlókł — odezwał się po długim przestanku. — Frerichs mi radzi, abym wziął ordynaryusza, którego kuracyą onby kierował i któryby mu zdawał sprawę — ale ja jestem człowiek kapryśny i rozkapryszony. Kto ze mną wytrzyma? z kim ja wytrzymam?

Zacząłem panu radzcy apologią Wolskiego, której słuchał z wielką uwagą.

— Radbym poznać, radbym poznać... Niemiec? Polak? jak się zowie?

Odpowiedziałem, że Polak i że się nazywa Wolski.

Namarszczył brwi i spuścił oczy.

— Radbym wiedział, jakich to Wolskich, jest ich wiele, a z jednymi jest nawet jakieś pokrewieństwo...

Z wyjaśnienia sprawy tej wykazało się, że właśnie pan, mój doktorze, jesteś z nim w pokrewieństwie.. Czy widzisz, że to już dzieło Opatrzności...

— Traf szczególny — odparł Wolski — ale co mi po jego pokrewieństwie? Byle był znośny i płacił za uczciwą pracę, więcej nie wymagam nic.

Garbus w uniesieniu starał się przekonać Wolskiego, iż pokrewieństwo to dobrze pielęgnowane mogło wydać najpożądańsze owoce.

Ale wkrótce potem sami się z tego śmiali.

Radzca życzył sobie, ażeby kandydat do męczeństwa przy nim stawił się dla rozmówienia i porozumienia co najrychlej. Cylius wstał oświadczając, iż musi dla zdrowia jeszcze przechadzkę odbyć, Wolskiemu kazał się garbus ubierać.

Wprzódy jednak poszli wszyscy trzej do Lischen i nie mogąc się od jej szczebiotania

oderwać, przesiedzieli tam jeszcze dobre pół godziny.

Na ostatek czas było iść.

Wolski nie bez pewnej trwogi wewnętrznej wybrał się.

W salonie zastali znowu radzcę tak samo wyciągniętego na kanapie, w tym samym szlafroku perskim, ale podwiązanego jakąś chustą, bo go bok więcej niż zwykle bolał. Garbus dostrzegł, jak chciwie oczy jego wlepiły się w przybywającego, i mógł poznać, że miła twarz Kajetana złego na chorym nie uczyniła wrażenia.

Radzca jak pierwszym razem był nadzwyczaj zimny — prosił siedzieć, kazał podać cygara — milczał, a otworzywszy usta począł od niezmiernie długiego wykładu swej choroby. Jak wielu chorych, nauczył się radząc ciągle, terminów medycznych, mówił o niej jak pół nie dobrego doktora.

Wolski cierpliwie słuchał i milczał.

Po krótkim egzaminie pulsu, symptomów itp. Wolski, na którego chory ciągle patrzał jak w tęczę, odezwał się, że jego rola musi tu być bardzo skromną, że będzie tylko wykonawcą rozkazów dra Frerichsa i bacznym postrzegaczem, pośrednikiem czujnym między chorym a lekarzem.

Skromność ta podobała się radzcy.

— Muszę tylko pana dobrodzieja ostrzedz — że mam fantazye i czy to skutkiem choroby czy skutkiem wieku czy charakteru jestem — nieznośny. Humor fatalny... podejrzliwość, roznerwowanie, gderalstwo, wszystko we mnie znajdziesz.

Wolski się uśmiechnął.

— To skutki słabości — rzekł — a ja jako lekarz oswojony z tem jestem.

— Wymagający będę — dodał radzca — nieustannie go nudzić muszę... dwadzieścia razy na dzień pulsu patrzeć... Gdy zechcesz milczeć, mnie się będzie chciało rozmawiać i stękać i na odwrót.

Nie zdawał się tem nastraszony Wolski.

— Ja z mojej strony — rzekł — tylko jeden kładę warunek: mam córeczkę, do której jestem przywiązany, której mi opuścić niepodobna, kilka razy na dzień będę musiał się o niej dowiadywać.

— A daleko to ztąd? — począł dopytywać chory.

Po obrachunku okazało się, że nie dosyćby miał Wolskiego pod ręką, gdyby kilka razy go odbiegał — zażądał więc, aby doktor z dziecięciem razem zamieszkał obok w hotelu.

— Rozumie się — dodał — na moim koszcie.

Chciał się zaraz umawiać o warunki, Wolski odmówił i powiedział, że po miesiącu, gdy się lepiej poznają, mówić o tem będą.

— Tymczasem bierzesz mnie pan radzca na swój koszt, to dosyć.

Mniej więcej jakoś się to ułożyło.

Pan Nietyksza niecierpliwy prosił, aby się Wolski tejże godziny przeniósł. Mieszkanie najęte ofiarował się zapłacić.

— Obejmuj pan obowiązki — dodał — uwolnij mnie od nich — nie będę potrzebował czuwać sam nad sobą, a naprzód idź pan się rozmów z Frerichsem.

— Jeśli mi się to dziś uda.

Radzca nakreślił kilka słów na bilecie, posłał po powóz dla Wolskiego i spiesznie go wyprawił.

Wszystko to spadło na niego jak piorun niespodzianie, nim się mógł rozmyśleć i upamiętać. Do słynnego lekarza wielce zawsze zajętego z pomocą biletu radzcy potrafił się dostać, choć w godzinie niezwyczajnej.

Znał go trochę Wolski z lat dawniejszych.

— Przychodzę — rzekł — po wskazówki i dyspozycye pana radzcy.

Zagadnięty ruszył ramionami.

— Pan jesteś lekarzem, mogłeś sam poznać stan chorego. Tam nie ma już nic do czynienia, tylko mu przynieść ulgę w cierpieniu. Wątroba jest zupełnie zepsuta a nie jesteśmy w stanie dostarczyć mu nowej. Rób pan, co uznasz możliwem, by życie mimo chorobliwego stanu tak ważnego organu utrzymać i przedłużyć... zresztą — powtarzam panu... życie na włosku a my Bogiem nie jesteśmy i cudów nie robimy.

Na kilka pytań zadanych odpowiedział pan radzca kilku radami i konsultacya na tem się skończyła.

Wolski na pierwszy rzut oka poznał był zły stan chorego, lecz bez auskultacyi nie mógł jeszcze o grożącem wnosić niebezpieczeństwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Życie kobiety w Japonii.

Prawie wszystkie dziewczęta japońskie — pisze w miesięczniku paryskim „Les documents du Progrés“ (Dokumenty postępu) Japonka z Tokio, p. Sumi Myakawa, stała współpracowniczka tegoż pisma — wychodzą za mąż natychmiast po skończeniu szkoły. Żona żyje razem z rodzicami swego męża, o ile ten jest najstarszym synem w rodzinie.

Wierność monarsze i krajowi, przytem uległość synowska — to są dwie główne zasady, które wcześnie wpajamy w serca tak chłopców, jak dziewcząt, starannie chowanych, czy w szkole, czy w domu, zarówno bogatych, czy biednych.

Najstarszy zatem syn, wraz z żoną, zajmują się losem starych rodziców z wielkiem poświęceniem. Chcąc im zapewnić spokój przy domowem ognisku, młodzi ludzie muszą być rozważni w czynach, powściągliwi w słowach i ruchach, i powinni nieustannie składać dowody cierpliwości i szacunku dla uczuć, przekonań, a nawet przesądów starych rodziców; strzedz się, aby ich niczem nie urazić.

Mamy w Japonii przysłowie: „Sprawcie, niechaj w domu waszym wieje wietrzyk wiosenny“. Żeby dojść do tego, kobieta musi być roztropną, rozważną, wdzięczną, tkliwą i posłuszną.

Wbrew w przekonaniu tych, którzy są zdania, iż nie trzeba kształcić kobiet, ja myślę, że przedewszystkiem one potrzebują nauki i starannego wychowania, gdyż życie wymaga od nich tyle panowania nad sobą i rezygnacyi. Nie jestto bowiem równie łatwo żyć z teściami, jak u siebie w swoim domu. Mie mniej przeto wypływa stąd ta korzyść, że dzieci, będące świadkami szlachetnej cierpliwości matki i poświęcenia się jej dla szczęścia drugich, łatwiej mogą iść jej śladem.

W tym to głównie sposobie życia leży najważniejsza różnica między kobietą wschodu a zachodu.

Wyższość obyczajów europejskich i niezależnego życia rodzinnego jest bardzo widoczna. Jakże to łatwo żyć według własnego gustu, przenosić się z jednego miejsca na drugie, podróżować po świecie. Pracuje się, zbiera się grosze, zakłada się własne ognisko.

Ja sama próbowałam żyć na sposób europejski. Lecz po kilku latach doszłam do przekonania, że zbyt wiele w nim egoizmu; nie mogłam żyć tak dłużej. Boję się, że wy, europejczycy, niedostatecznym staraniem otaczacie starych rodziców.

Biedny, nieraz ciężko pracujący nie zdoła przez całe życie zaoszczędzić pieniędzy; czyż musi na stare lata iść do przytułku? W Japonii niema zresztą przytułków dla starców; niema ich potrzeby, gdyż dzieci, nawet najbiedniejszych ludzi, dumne są, iż mogą otoczyć opieką starych rodziców. Jeżeli niema dzieci, najbliżsi krewni składają się na utrzymanie starców i przygarniają do siebie, nie pozwalając, aby żebrali u obcych.

Za lat najwcześniejszych młoda matka uczy swe dzieci panowania nad uczuciami i skłonnościami. Jeżeli mała dziewczynka zdradza zbyt żywy temperament, matka czuwa nad nią, nie przestaje powtarzać: „Jeżeli nie powściągniesz żywości, nigdy nie będziesz miała spokoju we własnym domu. Jeżeli ja nie jestem z ciebie zadowoloną, jakże będziesz mogła zadowolić innych?“

Im staranniej jesteśmy chowani, tem łatwiej potrafimy zwyciężyć nasze namiętności; a ta umiejętność panowania nad sobą, pozwala naszemu ludowi znosić tak dzielnie różne niedostatki, głód, pragnienie, a nawet pogardzać śmiercią. Jeżeli kobieta z ludu okazuje przed innemi swe nieszczęścia, to, podług naszych przekonań, hańbi swego męża, gdyż dowodzi braku panowania nad sobą.

Dziewczęta nasze muszą też być kształcone zgodnie z wymaganiami naszych obyczajów. Dwadzieścia lat temu popełniono błąd wielki: próbowano kształcić dziewczęta na wzór Zachodu. Posłano je do szkół publicznych i między innemi uczono je europejskich języków. Ale, kiedy po pewnym czasie powychodziły za mąż, okazało się, że pomimo różnych wiadomości, nie miały pojęcia ani o szyciu, ani o prowadzeniu gospodarstwa. Nie były też ani łagodne, ani cierpliwe, nie potrafiły ani rządzić umiejętnie domem, ani zająć się, jak trzeba, starymi rodzicami męża. Wówczas powstał ogromny ruch przeciw nowoczesnemu kształceniu dziewcząt. Szkoły się opróżniły; tam, gdzie początkowo było 500 uczennic, wkrótce zostało zaledwie 70.

Na szczęście, nadszedł znów czas, kiedy uznano w Japonii konieczność kształcenie kobiet, mając na uwadze przedewszystkiem umiejętność prowadzenia gospodarstwa domowego. W Tokio powstały liczne szkoły, założone przez rząd, cieszące się obecnie ogólną sympatyą ludności. Małe dziewczynki zaczynają od szkół początkowych. Potem są szkoły średnie, i wreszcie normalne, przygotowujące nauczycielki dla szkół średnich. Tak więc wychowanie i kształcenie kobiet w Japonii weszło obecnie na nowe tory i ma na celu, unikając błędów pierwotnych, przygotować dzielne towarzyszki mężom i doskonałe matki. Do pełnieniena tych obowiązków młoda dziewczyna powinna posiadać wiadomości z literatury, historyi, geografii i nauk przyrodniczych. Ale powinna znać dokładnie wymagania etykiety japońskiej. Prócz tego musi być biegłą w sztuce prowadzenia gospodarstwa i szycia, gdyż w Japonii wszystkie ubrania szyją w domu — to są bowiem główne zajęcia matki w rodzinie. Ona sama kroi i szyje ubrania swoje, męża i dzieci.

Jakkolwiek ów cel wychowania kobiet w Japonii tj. przygotowania dobrych żon i matek, może się wydawać zbyt ubogim i ciasnym, myślę, że nawet rozszerzając zakres nauki, należy go zatrzymać.

Byłam w różnych krajach Europy, w Anglii i Francyi, aby się przypatrzeć waszemu życiu rodzinnemu. Znalazłam tam wiele pięknych rzeczy; widziałam, że europejskie kobiety umiejętnie rządzą domem, utrzymują go w porządku; potrafią być radością i siłą moralną dla swych mężów... Lecz cnoty kobiece nie mają jednak u was, że się tak wyrażę, swych świątyń, kiedy tymczasem w Japonii kobiety cześć im zawsze składają.

To też nie dziwcie się, że wprowadzając niejedne europejskie ulepszenia z dziedziny cywilizacyi, z pewną dumą i uporem zatrzymujemy stare tradycye na niektórych punktach, naprzykład w wychowaniu kobiet japońskich.

Szczęśliwa ręka.

Moi przyjaciele i znajomi utrzymują, że mam „szczęśliwą rękę“. Istotnie, moje mieszkanie pełne jest roślin, z których najstarsza dosięgła poważnego wieku 25 lat; moje azalie, pelargonie, a nawet kamelie kwitną corocznie. Nie ulega wątpliwości, że mam szczęśliwą rękę.

Co ja nasłuchałam się o tym czarodziejskim talizmanie, który niewielu tylko wybranym dostaje się w udziale! Długi czas myślałam, że wróżki kładą go swoim ulubieńcom do kołyski. Mężczyźni rzadko go posiadają, przeważnie obdarzone są nim kobiety. Oto jedna z nich na szczycie Faulhornu wykopała fiołek alpejski, schowała go do kufra, potem podróżowała po Włoszech, i wróciwszy do do domu, zasadziła go w doniczkę. „Nic przy nim nie robiła“, a mimo to kwitnął wspaniale każdej wiosny. Inna posiadała mirt wysokości człowieka, rodzinną pamiątkę: prababka w dzień ślubu zasadziła w doniczkę gałązkę ze swego wianka, także nic przy nim nie robiła — na to szczególny kładzie się nacisk — i mimo to rósł jak na drożdżach.

Wyszedłszy młodo za mąż, wzięłam się z zapałem do hodowli roślin pokojowych, ale widocznie „szczęśliwa ręka“ jeszcze nie objawiła się u mnie, gdyż, mimo starań i dobrych chęci, wszystko więdło i ginęło, albo wiodło suchotniczy żywot, z wyjątkiem jedynego kaktusa, który uparł się żyć i jest obecnie dziekanem mojej małej cieplarni.

Co ja wyrabiałam z moimi wychowańcami! Sprawiłam im porcelanowe doniczki, codzień podlewałam je obficie zimną wodą prosto z wodociągu, w razie deszczu wystawiałam je na balkon — skutkiem czego straciłam wszystkie begonie, otwierałam szeroko okna, żeby miały świeże powietrze, obmywałam wodą palmy, nie żałowałam im nawet sztucznego nawozu, radziłam się wszystkich — nic nie pomagało. Przekwitłe rośliny wynosiłam do piwnicy, gdzie do reszty ginęły, gdyż pamiętna przestrogi, że po okwitnięciu mało potrzebują wody, wcale ich nie podlewałam.

Byłam tak zniechęcona niewdzięcznością moich wychowańców, że zamierzałam wyrzucić je wszystkie za karę. Na szczęście, przyszła do mnie przed wykonaniem surowego wyroku przyjaciółka mojej matki, wielka lubowniczka kwiatów, i na widok pożółkłych dracen, ogołoconych z liści, wyschniętych palm, podziurawionych begonii i melancholijnych paproci, klasnęła w ręce ze zdumienia:

— A cóż to za szpital! — zawołała.

— Pani myśli, że to skutek mego niedbalstwa? — odparłam z żalem. — Otóż zapewniam panią, że chodzę koło nich tak troskliwie, jak koło rodzonych dzieci.

— Widzę dowody troskliwości — rzekła z udaną powagą: — w tym koszu stoją ściśnięte razem rośliny wodne i stepowe, dzieci zwrotników i szczytów alpejskich, paprocie z gęstwin le-

śnych i kaktusy z pustyń amerykańskich. Podziwiam istotnie czarną ich niewdzięczność, że mając tak urozmaicone towarzystwo, nie chcą jednak się rozwijać. Albo te kamelie w porcelanowych donicach, tamujących przypływ powietrza i odpływ wody, ale zato bardzo ozdobnych! Albo ta palma, stojąca w ciemnym kącie, choć w swojej ojczyźnie przywykła do słońca i przestrzeni!

— Przecież w tym kącie trzeba było coś postawić — bąknęłam zmieszana.

— Zapewne, ale zamiast rośliny, istoty żywej, która musiała zmarnieć w tak niekorzystnych warunkach, mogłaś postawić zegar, wazon, rzeźbę, cokolwiek, byle nie palmę.

— Ach! pani mi poradzi, jak trzeba pielęgnować rośliny! — zawołałam — pani ma szczęśliwą rękę.

Zaśmiała się cicho.

— Zdradzę ci tajemnicę tego talizmanu: to jest umiejętność, połączona z wytrwałością i staraniem; ona sprawia, że wszystko nam się udaje. Bierzesz się do hodowli roślin, nie znając ich natury, budowy, przyzwyczajeń, warunków rozwoju, i dziwisz się później, że schną i marnieją! Większa ich część została przeniesiona z krain cieplejszych, słonecznych, pod nasze niebo północne, a raczej pod sufity naszych mieszkań, gdzie im brakuje światła, powietrza, przestrzeni. Jakże troskliwie i umiejętnie trzeba obchodzić się z niemi, żeby mogły wyżyć w niewoli!

Spuściłam głowę zawstydzona; tak mało znałam botanikę! Przyjaciółka mojej matki odgadła moje myśli i rzekła:

— Sama teorya jeszcze nie wystarcza. Owszem, kup sobie kilka książek o hodowli roślin pokojowych, ale staraj się bliżej zapoznać z naturą. Pod oknami waszego mieszkania jest kawałek nieużytecznej, zachwaszczonej ziemi; zamień go na ogródek i uprawiaj sama; przekonasz się, ile będziesz miała stąd korzyści i przyjemności.

Był to początek kwietnia. Usłuchałam dobrej rady i wzięłam się do pracy, nie żałując rąk. Skutek był taki, że teraz w lecie każdy przechodzień przez sztachety ciekawie zagląda do mego ślicznego wirydarza, w zimie zaś kwiaty i rośliny przeze mnie wyhodowane zdobią każdy pokój.

Moje znajome zazdroszczą mi i utrzymują, że mam „szczęśliwą rękę".

Z. S. (Tyg. M. i Pow.)

Dom i kuchnia.

Zrazy po angielsku.

Przez maszynkę przepuścić dwa razy kawał dobrego wołowego mięsa, dodać parę żółtek, garść bułki pszennej, namoczonej w mleku lub buljonie (z tych ma być dokładnie wyciśniętą), zmieszać z mięsem, dodać łyżkę surowego masła, trochę soli do masła, parę ziarn białego utłuczonego pieprzu. Wszystko razem bardzo starannie wyrobić.

Rękami na dłoni urabiać kulki, trochę je z wierzchu spłaszczyć, gdy już cała masa mięsna wyrobiona, rzucać te zraziki na gorące masło na patelnię; gdy z obu stron są przyrumienione, ułożyć je w rondlu jeden na drugim do połowy głębokości rondla, zalać do pełna sosem pomidorowym, zaprawionym śmietaną, poddusić razem trochę i z rondlem wydać do stołu. Są wyłącznie rondle metalowe, lub porcelanowe, gdy tych nie ma, to zwykły rondel obwija się zręcznie białą serwetą.

Do takich zrazów podaje się zawsze makaron włoski, oblany masłem z przyrumienioną bułką lub purée z kartofli.

Łatwy kremik czekoladowy.

Pół kwarty mleka, z pół laski utłuczonej wanilii i 8 łyżek cukru zagotować. Oddzielnie na misce wymieszać 2 czubate łyżki kakao, 2 również czubate łyżki mąki kartoflanej, 4 żółtka i 6—8 łyżek zimnego mleka. Wszystko to rozebrać wrzącem mlekiem z cukrem, złożyć w rondel, w którym się mleko gotowało, i mieszając ciągle, trzymać na ogniu, dopóki nie zgęstnie i wtedy, złożyć w formę wypłukaną zimną wodą i zastudzić.

Do tego kremiku można podać sos waniliowy; dobrze też jest ubrać ten kremik pianą mocno ubitą z dwóch białek z cukrem.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa pomidorowa z ryżem, wątróbka cielęca pieczona, purée z kartofli i kompot z morelek.

Poniedziałek. Rosół z makaronem, sztuka mięsa w chrzanowym sosie, szarlotka z jabłek.

Wtorek. Zupa cytrynowa, szparagi w maśle, kurczęta pieczone i suflet.

Środa. Zupa kalafiorowa, zrazy zawijane z kapustą, kompot rabarbarowy.

Czwartek. Zupa szczawiowa z jajkami, pieczeń cielęca na sposób sarni z kartofelkami i sałatą.

Piątek. Barszcz postny ze śmietaną, jajka w szarym sosie legumina z kaszki.

Sobota. Zupa ogórkowa, karbonada wieprzowa z marchewką, konfitury.

:: HUMORYSTYKA ::

W zakopańskim hotelu.

Lokaj. Pan z pod numeru szóstego żali się, że wskutek złego dachu woda tryskała na niego przez powałę i całkiem go zmoczyła.

Gospodarz. Wstawić do rachunku dla niego jeszcze 4 korony za kąpiel natryskową.

Dobry posag.

— Cóż, słyszałem, żeś się ożenił, czy przynajmniej dostałeś posag.

— A naturalnie, z początku mój teść obiecał mi dać gotówkę, następnie jednak obdarzył mnie towarem kolonialnym.

— Jakim właściwie?

— Ano, dał mi figę.

W kawiarni.

Komiwojażer (w hotelu do gospodarza): Co?! ten ser ma aż dwadzieścia centów kosztować?! Pan mnie chyba bierze za księcia, który podróżuje incognito!...

— Kazek! pewnie zapomniałeś! Przecie to w tym miesiącu upływa 25 lat, jakeśmy się pobrali. Wypadałoby urządzić jakie srebrne wesele.

— E! lepiej poczekać jeszcze te 5 lat, a potem urządzimy obchód trzydziestoletniej wojny...

Nieporozumienie.

Ledwo dysząc z biegania wpada pasażer na dworzec kolejowy. Dostrzega naczelnika stacyi:

— Panie! o której odjeżdża pociąg pospieszny do Krakowa?

— O trzeciej minut 15.

— Doskonale, tylko niewiem, która teraz godzina, bo wieżowy wskazuje dziesięć minut po trzeciej, pocztowy trzecią za pięć minut, a pański trzecią minut dwanaście. Do którego mam się więc zastosować?

— To zależy od woli pańskiej, tylko tyle panu jeszcze powiem, że pociąg pospieszny do Krakowa już odszedł...

Po balu.

— Jakżeś się Emilciu wczoraj na balu bawiła?

— Wybornie! Był śliczny inżynier, cudowny doktor, piękny adwokat, elegancki profesor, szykowny technik.

— No, i z którym najwięcej tańczyłaś?

— Naturalnie, z tym rudym kapitalistą.

Dla przekonania się.

— Jakto Julciu, poraz trzeci wyszłaś za mąż?

— A tak. Z pierwszym mężem, widzisz byłam szczęśliwą, a z drugim — nieszczęśliwą. Chcę się przekonać, jakich mężów więcej na świecie: złych czy dobrych? Dla tego wyszłam po raz trzeci.

A propos okolicy.

Lekarz. Nie potrzebujecie mi wiele opowiadać. Z waszej zmienionej twarzy widzę, że ból jest silny. Powiedzcie mi tylko, w której okolicy najwięcej go odczuwaliście.

Pacyent. Ano chyba to między Myślenicami a Jawornikiem, a szczególniej w tem miejscu, jak się skręca do Rudnika.

W sądzie.

— Bardzo żałuję panie sędzio, żem się pokusił na kradzież tego zegarka. Serdecznie żałuję.

— To mnie cieszy, że się w tobie znalazła choć mała doza skruchy. I co cię skusiło do kradzieży.

— Widzi pan sędzia, myślałem, że to złoty zegarek, a to bestyjstwo było srebrne i pozłacane.

Strapiona.

— Czego to pani Wojciechowa taka strapiona?

— Bo niedawno pochowałam męża.

— I cóż pani myśli ze sobą zrobić?

— Żeby pan Ignac był galanty kawaler, toby to sam wiedział najlepiej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego"
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.